MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK IX. Nr 14 WARSZAWA, 7 KWIETNIA 1929 R. CENA NUMERU 80 gr.

Z OBOZU MŁODYCH

KSIĄŻKA Jerzego Drobnika „Przesilenie współczesnej polityki" jest wydana nakładem „Awangardy", miesięcznika, będącego organem Młodych Obozu Wielkiej Polski. To właśnie każe nam zwrócić na nią baczną uwagę, wszak przynosi ona wyraz myśli jednego z pisarzy i działaczy młodego pokolenia, pozwala przeto na zapoznanie się z tem, z jakim dorobkiem wchodzi w życie polityczne to właśnie pokolenie.

Książka jest zbiorem artykułów, drukowanych przez autora w „Awangardzie", „Myśli Narodowej" i in. poruszone w niej zostały liczne i różnorodne tematy[1]). Nie zamierzamy tu roztrząsać szczegółowo jej treści. Tu i ówdzie nie moglibyśmy się zgodzić na poglądy lub wnioski autora. Nie o to wszakże idzie w tej chwili, chodzi o zdanie sobie sprawy z tego, czy punkt wyjścia jego myśli jest dobrze wybrany. Trzeba zaś zgóry uprzedzić czytelnika, że Drobnik wypowiada pod adresem współczesnych działaczy politycznych w Polsce, a i pod adresem stronnictw politycznych wiele uwag krytycznych. I to uwag nie tylko pod adresem działaczy i stronnictw, wobec których stoi po drugiej stronie barykady. Uwagi jego dotyczą także — i to przedewszystkiem budzi zainteresowanie w jego książce — obozu, do którego sam należy i ludzi, którzy w tym obozie odgrywają dużą rolę.

Krytyka naszego autora nie zwraca się przeciwko zasadom i podstawom, na których opiera się ruch narodowy w Polsce i na których zbudowana jest ideologja obozu narodowego. Dotyczy raczej zagadnień szczegółowych i metod działania politycznego. W tym zakresie jest jednak czasami dość ostra i dotkliwa. — I tutaj właśnie musimy sobie postawić pytanie — czy Polska przeżywa obecnie przesilenie w życiu i w myśli, któreby nakazywało poddawanie rewizji panujących poglądów i metod działania?

Na pytanie to musimy odpowiedzieć twierdząco, a przez to uznać, że przedsięwzięcie Drobnika jest słuszne i potrzebne.

Nasze stronnictwa polityczne pochodzą wszystkie prawie z czasów przedwojennych. Organizacja ich była zastosowana do warunków, jakie panowały w trzech zaborach, a programy były wynikiem zajmowania stanowiska wobec ówczesnej rzeczywistości. Tymczasem wojna i jej następstwa wywołały w Polsce właśnie taką bodaj przemianę, jak w żadnym innym kraju. Stronnictwa organizowane dla budzenia ducha, budowania podstaw myśli politycznej i walki z rządami obcemi, stanęły wobec zadania kierowania życiem politycznem wolnego narodu i rządzenia państwem. Tak radykalne przeobrażenie zadań i roli politycznej musiało najsilniej dotknąć obóz narodowy, mający dążenia czysto pozytywne i poczucie odpowiedzialności za losy i przyszłość państwa.

Długoletnia praca i wysiłek myśli tego obozu wydały rezultat oczywisty i historycznie wielki: jego stanowisko w okresie wielkiej wojny i decydujący udział w odbudowaniu państwa polskiego, które było wynikiem zwycięstwa państw sprzymierzonych nad Niemcami. Ale życie nie stoi w miejscu, przed obozem narodowym stanęło natychmiast zadanie organizowaniania życia państwowego Polski odrodzonej. I tu, jeśli się chce być szczerym i jeżeli się patrzy jasno na rzeczywistość, to należy stwierdzić, iż obóz narodowy temu zadaniu nie sprostał, bo od roli decydującej w życiu odrodzonego państwa polskiego został odsunięty. Przyczyny tego faktu są różne i skomplikowane. Nie będziemy się tu nad niemi zastanawiali, zaznaczymy tylko, że wartoby się zająć tem zagadnie-

[1]) Oto tytuły rozdziałów: Polityka i kultura umysłowa. Polityka i prądy religijne. Polityka i sztuka. Polityka, opinja i siła. Polityka i prasa. Polityka i gospodarka. Polityka i ludzie. Polityka i partje.

niem, bo możnaby stąd zaczerpnąć wiele nauk i wskazań na przyszłość. Musi ku temu zagadnieniu zwracać się myśl młodego pokolenia, które ma naturalne i uzasadnione dążenie do zajęcia decydującej pozycji w życiu polskiem, ponadto poczucie swej siły i swych uzdolnień.

Jesteśmy wprawdzie świadkami przeobrażania się stronnictw, proces ten wszakże odbywa się zbyt powoli. Nietylko Polska, lecz cała Europa stanęła wobec nowych zagadnień i nowych zadań. Te narody zwyciężą we współzawodnictwie międzynarodowem, które nowe zagadnienia najprędzej zrozumieją, a nowe zadania najbardziej ochoczo podejmą. Do tego współzawodnictwa musi także stanąć Polska, jeśli nie chce być zepchnięta na plan drugi, co dla państwa naszego byłoby jednoznaczne z zagładą. Tu zaś potrzebna jest przedewszystkiem praca myśli i twórczy jej wysiłek. „Żaden ruch społeczny ani polityczny w czasach dzisiejszych nie urzeczywistni się, zanim nie przybierze form uchwytnych w umysłowości ludzkiej" — powiada słusznie Drobnik. Idea, myśl, twórczość — oto pierwsze warunki wszelkiej polityki, tak było zawsze, jest dziś i będzie w przyszłości.

Jeśli się zaś chce przystosować programy i metody działalności do nowoczesnych stosunków w Polsce odrodzonej i do położenia europejskiego, to trzeba śmiałej i dosadnej krytyce poddać nie tylko obcych ale i swoich. Obóz zadowolony z siebie i nie dopuszczający do samokrytyki skazany jest na uwiąd starczy.

Powiemy więcej — długoletnie doświadczenie nauczyło nas, że tylko te obozy polityczne są żywotne, w których odbywa się nieustanna praca myśli i walka o to, by utorować drogę nowym poglądom i nowym wskazaniom, niezbędnym wobec tego, że życie nie stoi w miejscu, i że narzuca wciąż nowe problematy. Ma rację Drobnik, gdy mówi, że „dotychczasowy wyraz polityczno-społecznych dążeń i prądów, istniejące partje polityczne, przestały odpowiadać rzeczywistości w miarę zmian, jakie się dokonywają w budowie społeczeństwa". Ma rację także, gdy powiada, że w pojęcia „prawica" i „lewica" wkłada się jeszcze często treść dawną, „a nawet się więcej zważa na historyczny ich rodowód, historyczną etykietę, niż na to, czem one są w istocie dzisiaj... lewica w niejednym punkcie przestała być lewicą, a prawica prawicą". Trzeba istotnie nieraz szukać nowych podstaw klasyfikacji, oglądać się za nowemi kryterjami.

Muszą to nadewszystko robić Młodzi, do których zalicza się także Drobnik. Ze względu na to, że są przedstawicielami pokolenia, które dopiero wstępuje w życie, mają oni i mieć muszą pewne przywileje, a nadewszystko przywilej poddawania rewizji mających obecnie kurs myśli i wskazań; lecz jednocześnie muszą się pogodzić z tem także, iż ich dorobek myślowy i ich poglądy będą podlegały z kolei krytyce tych, którzy, być może, zesztywnieli w nabytych formach i metodach myślenia, nabrali pewnych nałogów politycznych, lecz mają natomiast zapas doświadczenia i kulturę umysłu, wymagającą — między innemi — czasu.

Książka Drobnika przynosi dużo materjału do dyskusji, obiecujemy sobie powrócić do poruszanych w niej poszczególnych zagadnień. Na razie odpowiadając na pytanie postawione na początku, musimy powtórzyć, że punkt wyjścia autora jest słuszny. Polska i Europa przeżywają głębokie przeobrażenie polityczne, społeczne i gospodarcze; myśl współczesna szuka wszędzie gorączkowo i z wysiłkiem odpowiedzi na wysuwające się pytania, dotyczące podstaw życia ludzkiego na ziemi... W związku z tem potrzebny jest wielki wysiłek i wytężona praca myśli polskiej. Młode pokolenie ma obowiązek nietylko nawiązać do przeszłości i snuć dalej dobrą tradycję, lecz także podjąć i kontynuować pracę myśli, żeby módz odpowiedzieć na wysuwane przez życie pytania i zwycięsko zmierzyć się z rzeczywistością. — Książkę Drobnika należy postawić w rzędzie tych wysiłków. Zasługuje ona na przeczytanie, powinna dać impuls do poważnej i wszechstronnej dyskusji nad poruszonemi w niej zagadnieniami.

STANISŁAW KOZICKI

FAŁSZYWA SYNTEZA

WYSUNIĘCIE przez Klub Parlamentarny B. B. projektu rewizji konstytucji, pozwoliło wreszcie na syntetyczną, rzeczową ocenę planu organizacji państwa, pomyślanej przez rządzący dziś Polską obóz polityczny.

Zanim jednak przystąpimy do tego zadania, musimy na wstępie zaznaczyć, że chodzić nam będzie nie o systematyczne zanalizowanie wszystkich owych „nowości", wielokrotnie już krytykowanych i omawianych, ale o przedstawianie rzeczy najistotniejszych, stanowiących niejako kręgosłup koncepcji ustrojowej obozu „pomajowego". Nasze ujęcie będzie przytem dynamiczne, a nie statyczne. Analiza czysto formalna, „paragrafowa" — nie wystarcza. Systemu konstytucyjnego nie można traktować w oderwaniu od konkretnego życia politycznego, w którem, jak w każdem życiu, zasadniczym objawem jest zjawisko ruchu. „Anatomję" ustroju państwowego należy więc dopełnić jego „fizjologją", że posłużymy się określeniem znakomitego prawnika francuskiego prof. Roberta Redsloba.

Pod tym kątem widzenia oceniać będziemy omawiany projekt. Podstawą będzie pojęcie ustroju jako pewnego mechanizmu, który funkcjonuje, mechanizmu, w ruchu. Na ruch ten składają się przedewszystkiem wzajemne ustosunkowania władzy wykonawczej i ustawodawczej w państwie, w zależności od sposobów tworzenia się tych władz. Podział ich, wbrew opinji prof. Makowskiego, ma charakter i uzasadnienienie raczej życiowe i praktyczne niż „metafizyczne", jak również i zasada ich równowagi.

* * *

Jeśli chodzi o główne tezy na jakich oparł się rozważany projekt, to wyłożył je prof. Makowski w swem

niedawnem przemówieniu w sali pompejańskiej. Oto dokładne streszczenie, zamieszczone w numerze 37 półoficjalnej „Epoki“, gdzie czytamy:

„Projekt zarzuca dotychczasowy „metafizyczny“ podział na władzę ustawodawczą, wykonawczą i sądowniczą i wychodzi z zasady, „że źródłem władzy w Rzeczypospolitej Polskiej jest naród, a prawam naczelnem dobro państwa, najwyższym zaś przedstawicielem władzy w Państwie jest Prezydent Rzplitej“. Jest on powołany do wykonywania roli pośrednika i superarbitra pomiędzy ustawodawstwem, reprezentowanem w Sejmie i Senacie, a władzą administracyjną, jaką jest rząd. Z tej jego roli przodującej wynika konieczność wyboru prezydenta w drodze plebiscytu“.

A dalej nieco mamy następujący ustęp:

„Z takiego ujęcia roli Prezydenta Rzplitej wynika także jego stosunek do innych organów życia państwowego, jakiemi sa rząd i parlament. Prezydent Rzplitej nie jest według projektu szefem władzy wykonawczej (!), jak to było w konstytucji obecnej. Rząd pojęty jest jako samodzielny organ, składający się z Prezesa Rady Ministrów i Rady Ministrów, majacy swoje własne atrybucje i odpowiedzialny przed Prezydentem Rzplitej. Z drugiej strony zachowana jest odpowiedzialność parlamentarna rządu itd“.

A jeszcze dalej:

„Stosunek prezydenta do Sejmu został rozwinięty przez uznanie, że Prezydent Rzplitej jest jednym z czynników stanowienia praw publicznych i prywatnych i działającym łącznie z Sejmem i Senatem“.

Czytamy wreszcie:

„Cały szereg przepisów szczegółowych dąży do przeprowadzenia tej zasadniczej myśli, że pomiędzy dwoma organami państwa, jakiemi są sejm i rząd, czynnikiem łączącym i koordynującym jest osoba, przedstawiająca bezpośrednie uprawnienia, przelane na siebie przez naród, będący źródłem władzy w państwie“.

* * *

Przedstawiliśmy, opierając się na cytatach, główną myśl przewodnią. Jeśli się teraz zastanowimy nad całą tą konstrukcją, uderza nas odrazu rzecz nowa, a zasadnicza. Jest nią wyraźna nadrzędność władzy prezydenta wobec władzy ustawodawczej oraz administracyjnej czyli wykonawczej. Prezydent jako głowa państwa nie jest ani pozbawionym władzy figurantem, według wzoru francuskiego, ani też niezależnym szefem egzekutywy, według wzoru amerykańskiego, ale stanowi czynnik samoistny i niezawisły, czynnik arbitrażu i rozjemstwa pomiędzy rządem i parlamentem, posiadający przytem po obu stronach nadzwyczaj potężny zakres uprawnień. Biorąc rzecz czysto statycznie i przyjmując władzę prezydenta jako punkt ciężkości w nowym ustroju, jako podstawę struktury konstytucyjnej dostatecznie trwałą, możnaby resztę traktować jako coś zbliżonego do stanu równowagi między legistatywą a egzekutywą, regulowanej przez niezależną głowę państwa. Instrumentem tej równowagi byłaby od strony izb prawodawczych odpowiedzialność parlamentarna ministrów, od strony rządu możność uzyskania rozwiązania parlamentu przed upływem kadencji.

Podobną, z tą atoli różnicą, że rzeczywistą, formę równowagi władz odnajdziemy w ustroju Wielkiej Brytanji, w którym Korona odgrywa właśnie rolę owego czynnika regulującego, stanowiącego nieruchomy punkt oparcia. Logiczną postać systemu konstytucyjnego Anglji przedstawił nad wyraz jasno prof. R. Redslob w swojem znanem dziele: „*Le régime parlementaire*“.

Lecz te pozory stabilizacji i równowagi nikną w projekcie polskim, ujętym dynamicznie. Co więcej: takie ujęcie, oparte na wyobrażeniu funkcjonującego ustroju, ustroju „w stanie ruchu“ — odkrywa nam głęboką sprzeczność wewnętrzną w samej konstrukcji, sprzeczność, którą będziemy się starali wykazać i która każe nam mniemać, że w razie urzeczywistnienia projektu B. B., stać się on może źródłem ciężkich powikłań, a w każdym razie będzie czemś przejściowem, nowem „doświadczeniem“ w zakresie ustroju.

Każdy orjentujący się w dziedzinie prawa politycznego zdaje sobie dokładnie sprawę, co potwierdza zresztą doświadczenie historyczne tylu państw, że nawet w stabilizowanym ustroju, (tembardziej w okresie dyktatury, której jednak jako zjawiska nienormalnego i prowizorycznego nie bierzemy pod uwagę)—sposób powstawania władzy odgrywa naogół znacznie większą rolę, niż formalny, uwidoczniony w przepisach ustawy konstytucyjnej, zakres kompetencyj.

Jednym z najbardziej charakterystycznych przykładów jest przykład Francji, gdzie faktycznie bezsilny prezydent posiada formalnie ogromne uprawnienia.

Zasada życiowa ustroju francuskiego wyraża się w omnipotencji parlamentu i w oparciu o niego władzy wykonawczej, a wszelkie przepisy konstytucji sprzeczne z powyższą zasadą pozostają martwą literą, jak np. prawo rozwiązania parlamentu przed upływem kadencji, z którego żaden prezydent nigdy nie był w stanie zrobić użytku, pominąwszy niefortunną zresztą próbę ks. Mac-Mahona. Parlament bowiem jest emanacją narodu, a prezydent — emancją parlamentu: „*La création est enchainé au créateur*“. Szanse są więc nierówne, wbrew wszelkim przepisom prawnym.

Ale ze zrozumienia tego, jak doniosłe znaczenie, dla określenia roli i autorytetu władzy, posiada sposób jej powstawania, wynika też jasno cała sztuczność nowego pomysłu, będącego przedmiotem naszych rozważań. Projekt B. B. bowiem nie tworzy z głowy państwa poprostu szefa władzy wykonawczej, wybieranego systemem plebiscytowym, celem zagwarantowania pełnej samodzielności, nie idzie więc za wzorem amerykańskim, wzorem przedstawiającym wątpliwą dla nas wartość, lecz logicznym wewnętrznie, ale przeciwnie, tworzy z prezydenta władzę nadrzędną, stojącą ponad sejmem i rządem i posiadającą, w ujęciu statycznem, wiele cech monarchicznych. Do tej jednak nadrzędności nie uprawnia (w znaczeniu życiowym) plebiscytowa forma wyboru. Nie ma żadnych poważniejszych danych na poparcie twierdzenia, jakoby kolegjum wyborców, głosujących do sejmu czy senatu, miało mieć charakter mniej autorytatywny, niż to samo kolegjum, wybierające prezydenta. To też, jeśli mamy brać pod uwagę ustrój trwały, samorzutnie funkcjonujący, musimy przyjść do przekonania, że wspomniana nadrzędność głowy państwa da się utrzymać jedynie środkami sztucznemi, dyktaturą wojskową jawną czy ukrytą, w warunkach zaś normalnych jest fikcją, szkodliwą jak wszelkie fikcje z pozorami istotności.

To założenie, o którem mówił prof. Makowski, pojmujące głowę państwa jako samoistny organ i czynnik równowagi pozostałych władz, czynnik nieruchomy w ruchomym ustroju, daje się, jak wskazują przykłady, urzeczywistnić w monarchji dziedzicznej, w ustroju republikańskim natomiast projektowana „synteza monarchiczno-republikańska“ jako nieharmonijna, nie ma zadatków trwałości, jeśli oczywiście weźmiemy rzecz na dalszą metę i z wyłączeniem przejściowych konjunktur „personalno“-dyktatorskich.

* * *

W swej zasadniczej koncepcji omawiany projekt rewizji jest charakterystycznym wyrazem rozbieżności w dziedzinie głębszych poglądów na ustrój państwowy. Mamy tu powiązanie dwóch odmiennych myśli w sposób rażąco nielogiczny.

Pierwsza z nich to myśl o konieczności istnienia pewnej władzy nadrzędnej, któraby reprezentowała tradycję polityki państwowej i stanowiła czynnik trwałości i ciągłości w płynnych warunkach życia politycznego, wśród nieustannego falowania bieżących dążeń i nastrojów. Myśl ta opiera się ideologicznie na pojmowaniu narodu nie jako sumy współcześnie żyjących jednostek, ale jako pewnej organicznej całości, jako związku pokoleń, jako hierarchji sił moralnych i materjalnych, jako grupy społecznej wreszcie o określonej tradycji, gwarantującej zachowanie jedności i odrębności w przebiegu czasu, i — domaga się swego wyrazu w ustroju państwowym.

Naturalną funkcją władzy nadrzędnej jest piastowanie owej myśli tradycyjnej, którą pojmujemy na razie czysto formalnie.

Ale projekt B. B. ma za najgłębszą podstawę stary światopogląd „demoliberalny", traktujący społeczeństwo jako „wielkość matematyczną", nieorganiczną sumę indywiduów i opierający całą władzę w państwie na „suwerennych" wyborcach i na wyborach, które przedstawiają typowo płynną, bieżącą, zmienną myśl polityczną, rodzącą się przytem tak często w atmosferze przejściowych nastrojów, demagogji lub prostego wyzysku głupszych.

W powiązaniu niewłaściwem tych dwóch momentów leży istota błędu. Bo jakkolwiek jest rzeczą oczywistą, że również ta płynna, bieżąca myśl polityczna musi znaleść odpowiedni wyraz w ustroju państwowym, to jednakże daleko stąd do rozwiązania, jakie proponuje klub B. B. Tak jak nie jest możliwe uzasadnić, dlaczego kolegjum prezydenckie wyborców ma posiadać większy autorytet społeczny, niż to samo kolegjum, głosujące do izb prawodawczych, tak również nie jest rzeczą zrozumiałą, w jaki sposób władza głowy państwa, oparta o wybory, o demagogję wiecową, gdzie wynik zależy od gry nastrojów i tych wszystkich czynników politycznych płynnych i nietrwałych, a nieraz zupełnie ślepych i negatywnych, w jaki sposób przedstawiciel tej władzy może być reprezentantem owej myśli ciągłej, syntetycznej i tradycyjnej, w najszerszem i najpiękniejszem tego słowa znaczeniu.

Widzimy, że połączono tu rzeczy mogące istnieć obok siebie, ale nie we wzajemnym związku przyczynowym.

* * *

Zdaniem naszem kwestja ustroju w Polsce nie prędko wyjdzie ze swej fazy przejściowej. Dowodem—choćby projekt B. B., idealny materjał na „nowe doświadczenie", ale zbliżamy się niewątpliwie, chociaż powoli, do trwalszych rozwiązań. W zagadnieniu ustrojowem, patrząc na daleką metę, sądzimy, że zwycięży myśl tych, którzy najwcześniej przejęci pewną ideą, pewnem posłannictwem, najlepiej jednocześnie zrozumieją nowe czasy, nową rzeczywistość społeczno-gospodarczą i polityczną, którzy najlepiej przewidzą rozwój realnych sił w społeczeństwie i stojąc niejako na czele prądu pokierują nim zgodnie z własną myślą przewodnią.

A że rzeczywistością społeczną najbardziej konkretną jest niewątpliwie naród, jako całość organiczna, dlatego też i ustrojem przyszłości jest ustrój narodowy, do którego zmierzamy, poprzez coraz to nowe próby.

ST. L-SKI

PODSTAWY SPORU JAPOŃSKO-AMERYKAŃSKIEGO

(Dokończenie)

WOBEC takich konjunktur taktyce Stanów Zjednoczonych groziło poważne niebezpieczeństwo; dlatego też zorjentowawszy się wczas, postanowiły one wziąć inicjatywę w swoje ręce. W roku 1921 Stany Zjednoczone zwołują Konferencję Waszyngtońską, która stanowi trzeci etap w rozwoju stosunków japońsko-amerykańskich. Chodziło tu Stanom Zjednoczonym przedewszystkiem o zatwierdzenie przez mocarstwa naczelnych postulatów polityki amekańskiej na Dalekim Wschodzie, jak również o zerwanie przymierza japońsko-angielskiego. Usiłowania dyplomacji amerykańskiej, mające na celu odosobnienie Japonji, zostały uwieńczone pomyślnym skukiem. Pod presją Ameryki, Anglja uwierzyła w aktualność niebezpieczeństwa, zagrażającego nienaruszalności granic Chin w razie dalszego istnienia przymierza japońsko-angielskiego. Dojrzała ona również kryjące się w ekspansji japońskiej niebezpieczeństwo, zagrażające posiadłościom angielskim na Oceanie Spokojnym.

Dyplomacja amerykańska potrafiła przekonać Anglję, że wrazie zbrojnego konfliktu, Japończycy, opanowawszy w krótkim czasie archipelag Sundzki, założyliby bazy dla swej floty na Jawie, Sumatrze i Borneo; posunięcie to zagrażałoby w równej mierze posiadłościom angielskim, jak i amerykańskim na Oceanie Spokojnym.

Pomimo doniosłości wielu uchwał, powziętych na Konferencji Waszyngtońskiej, należy stwierdzić jej ogólne niepowodzenie. Nie położyła ona bynajmniej kresu rywalizacjom, które po jej podpisaniu przybrały bardziej niż kiedykolwiek ostrą formę — Japonja zaś, której zainteresowania objęły przez jakiś czas szerszy horyzont dzięki przymierzu z Anglją, powróciła, po jego zerwaniu, wyłącznie do swych kontynentalnych ambicyj w Chinach, usiłując jednocześnie stanąć na czele ruchu panazjatyckiego.

Tak kształtuje się w ogólnych zarysach konfikt japońsko-amerykański w Chinach. Innym, równie ważjnym jego ośrodkiem — jest Ocean Spokojny. Zagadnieniem, wysuwającem się na pierwszy plan, jest tu pytanie, który z dwóch przeciwników panować będzie nad Pacyfikiem.

Polityka baz morskich ma za sobą w Japonji pewną tradycję. Już w roku 1895, po zwycięstwie nad Chinami obejmuje Japonja w posiadanie Port Arthura. Posunięcie to jest bezpośrednim powodem wojny japonńsko-rosyjskiej w roku 1904. W miarę wzrostu swej potęgi zaczyna Japonja uważać się za mocarstwo, którego zainteresowania powinny zwracać się przedewszystkiem ku morzu. Tem się tłumaczy niepokój opinji publicznej w Japonji, spowodowany zagarnięciem przez Stany Zjednoczone wysp Filipińskich, oraz archipelagu Hawajskiego, stanowiącego naturalne ujście dla emigracji japońskiej, a będącego pozatem punktem strategicznym pierwszorzędnej wagi.

Idąc konsekwentnie po zgóry wykreślonej linji, korzysta Japonja z wybuchu wojny światowej, aby zająć niemiecki Kiau-Czou, oraz kilka archipelagów na Oceanie Spokojnym o których mówiliśmy wyżej. Ta ekspansja japońska na Pacyfiku wywołała, rzecz jasna, w Stanach Zjednoczonych duży niepokój i spowodo-

wała wiele tarć, jak n. p. trwający jeszcze spór o japońską wyspę Jap, która przedstawia dla Ameryki dużą wartość, jako punkt oparcia dla kablu podwodnego, łączącego kontynenty amerykański i azjatycki.

Przeczulona opinja amerykańska przypisuje jednak Japonji inne, szersze jeszcze ambicje imperjalistyczne na Oceanie Spokojnym. Według opinji tej imperjaliści japońscy przychylnie odnoszą się jakoby do projektu skierowania japońskiej ekspansji w kierunku Indyj Holenderskich. Zawładnięcie tą bogatą grupą wysp przedstawiałoby dla kraju Wschodzącego Słońca duże znaczenie tak pod względem handlowym i przemysłowym, jak i pod względem strategicznym. Bogate źródła nafty umożliwiłyby zorganizowanie potężnych stacyj opałowych na Jawie, Sumatrze i Borneo, z których to stacyj korzystałaby flota japońska, majaca jako punkty oparcia bazy operacyjne na wspomnianych wyspach. W razie ich okupacji, marynarka japońska zaszachowałaby Singapore, przerywając równocześnie wspólny front Anglo-Saksoński, strażujący na przejściu między dwoma oceanami: Indyjskim i Spokojnym.

Jeżeli chodzi o charakter ekspansji amerykańskiej na Oceanie Spokojnym, stwierdzić należy, że jest ona skierowana wyłącznie przeciwko Japonji. Aby się co do tego upewnić, wystarczy zaobserwować takie fakty, jak: coraz to większa koncentracja floty amerykańskiej na Oceanie Spokojnym, — budowa potężnych baz morskich w portach San Diego, Port Angeles, Astorji, na wyspie Gnam, na Filipinach, — projekt rozszerzenia zatoki Pearl na wyspach Hawajskich, celem utworzenia z niej potężnego schroniska dla całej floty Oceanu Spokojnego, zmonopolizowanie przez Stany Zjednoczone podwodnych połączeń kablowych między Azją i Ameryką, a nawet przekopanie kanału Panamskiego, którego cele strategiczne ważniejsze były może od ekonomicznych.

Naprężenie sytuacji nie dowodzi jednak, żeby tak z jednej, jak i z drugiej strony nie były czynione wysiłki celem uregulowania zagadnień Oceanu Spokojnego. Najlepszym tego dowodem — Konferencja Waszyngtońska z roku 1921. Wszyscy uczestnicy tej konferencji zobowiązali się ograniczyć do *minimum* swe zbrojenia morskie. Stany Zjednoczone zrezygnowały z budowy t. zw. „*capital ships*“, okrętów o poważnym tonażu, — oraz zobowiązały się zaprzestać budowy nowych fortyfikacyj w istniejących już bazach morskch; Japonja zmuszona została wyrzec się swych ambitnych projektów panowania nad Pacyfikiem, oraz zredukować swój program morski, stosownie do uchwalonej przez konferencję proporcji: Anglja: 5, Ameryka: 5, Japonja: 3. Uczestnicy Konferencji zobowiązali się ponadto szanować wzajemnie swoje posiadłości na Oceanie Spokojnym, referować specjalnej komisji, złożonej z uczestników Traktatu Waszyngtońskiego, wszystkie kwestje sporne mogące naruszać istniejący na Pacyfiku „*status quo*“, oraz stosować energicznie wspólnie podjętą sankcję zbrojną przeciwko temu z uczestników Konferencji, któryby danych zobowiązań nie dotrzymał. Specjalny paragraf przewidywał ponadto rozwiązanie przymierza japońsko-angielskiego z chwilą podpisania traktatu „Konferencji Waszyngtońskiej“.

Po rozpatrzeniu sytuacji, jaka się wytworzyła w dwóch zasadniczych ośrodkach konfliktu japońsko-amerykańskiego, w Chinach i na Oceanie Spokojnym, należy również zwrócić uwagę na ośrodki o mniejszem znaczeniu, jak Dominja Brytyjskie, Ameryka Łacińska i Stany Zjednoczone.

Taktyka Dominjów Angielskich, tj. Australji, Nowej Zelandji i Kanady w stosunku do Japonji przypomina bardzo postępowanie Stanów Zjednoczonych. Krajom tym, o zaludnieniu zacznie słabszem od Japonji, zagraża wspólne niebezpieczeństwo pokojowej inwazji przez rasę żółtą. Dlatego też, co się tyczy emigracji japońskiej, prawodawstwo Dominjów i Stanów Zjednoczonych jest prawie identyczne. Obawa przed emigracją japońską była również przyczyną zdecydowanie opornego stanowiska Dominjów wobec możliwości odnowienia przymierza japońsko-angielskiego. Protestując przeciwko tej możliwości na Konferencji Imperjum Brytyjskiego, która odbyła się tuż przed Konferencją Waszyngtońską, Dominja przyczyniły się nader skutecznie do zrealizowania jednego z naczelnych postulatów polityki Stanów Zjednoczonych.

Ameryka Łacińska staje się już od początku XX-go wieku terenem imigracji japońskiej, która mocno niepokoi Stany Zjednoczone. Japonja uważa jednak Ameryką Łacińską nie za teren kolonizacyjny w ścisłem tego słowa znaczeniu, ale za pole do ekspansji ekonomicznej; koncepcja taka zagraża, rzecz jasna, idei panamerykanizmu ekonomicznego i podkopuje znaczenie, o które starają się w Ameryce Południowej Stany Zjednoczone.

Terenem, na którym rywalizacja Ameryki i Japonji daje się odczuć nadzwyczaj silnie, są wreszcie same Stany Zjednoczone. W ich granicach bowiem rozgrywa się walka, która chociaż nie zdążyła dotychczas wyjść poza ramy polemiki prawnej, jest jednakże obecnie ważnym punktem konfliktu japońsko-amerykańskiego. Chodzi tu kwestję emigracji japońskiej do Stanów Zjednoczonych, a w szczególności do Kalifornji. — Emigracja ta wywołana została głównie przez wielką różnicę w gęstości zaludnienia obu krajów: — z jednej strony Japonji, nie mogącej pomieścić ani wyżywić swej ciągle wzrastającej ludności — z drugiej strony — zachodnich wybrzeży Ameryki Północnej, o olbrzymich obszarach nie zamieszkałych prawie i leżących odłogiem. Napływ Japończyków do Kalifornji szedł głównie drogą pośrednią, przez wyspy Hawajskie, gdzie żółci robotnicy znajdowali łatwo pracę w dużych amerykańskich cukrowniach. Po pewnym czasie napływ ten zastanawiać począł opinję amerykańską, tem więcej, że równocześnie rozwój potęgi politycznej Japonji zaczął przybierać formy niepokojące. — Każde powodzenie Japonji odbijało się głośnem echem w Ameryce, podniecając antyjapońskie nastroje opinji publicznej. Wreszcie po zwycięstwie japońskiem nad Rosją, doszło w r. 1906 do głośnych demonstracyj antyjapońskich w San Francisko. Japonja, wycieńczona świeżo przebytą wojną, musiała ulec potężnej presji dyplomatycznej Stanów Zjednoczonych, zgadzając się na t. zw. „*Gentlemen's Agreement*“, — układ, mający na celu ograniczenie do *minimum* emigracji japońskiej do Stanów. Japonja starała się dotrzymać wszystkich przyrzeczeń, zawartych w powyższym układzie; najbardziej jednak ugodowe jej stanowisko nie zdołało przejednać opinji publicznej amerykańskiej, pod której wpływem rząd Waszyngtoński zerwał jednostronnie „*Gentlemen's Agreement*“ w roku 1919-tym. Sytuacja i tak już mocno naprężona, pogorszyła się znacznie w roku 1924-tym, kiedy parlament amerykański uchwalił sławny „*Immigration Act*,“ — ustawą odmawiającą prawa przebywania na terenie Stanów wszystkim cudzoziemcom, nie mogącym otrzymać obywatelstwa amerykańskiego drogą naturalizacji. W praktyce „*Immigration Act*“ stosował się wyłącznie do cudzoziemców rasy żółtej, gdyż

uniemożliwiał im otrzymanie owej naturalizacji. Stany Zjednoczone motywują swe postępowanie argumentami natury ekonomicznej—twierdzą, że imigracja Japończyków zagraża materjalnemu bytowi innych obywateli amerykańskich. Jasne jest jednak, że argumenty te służą tylko jako pozór dla ukrycia właściwej przyczyny antyjapońskiej polityki Stanów, t. j. wrodzonej nienawiści rasy anglosaksońskiej do rasy żółtej.

*

Wobec podobnego postawienia kwestji zachodzi pytanie, czy wogóle możliwe jest zażegnanie konfliktu japońsko - amerykańskiego drogą polubowną. Optymiści wierzą w „takt" rządu japońskiego i amerykańskiego oraz w „powagę" Ligi Narodów;—ci jednakże, którzy ograniczają się tylko do obserwowania faktów, nie mogą się powstrzymać od pewnego pesymizmu. Faktem jest bowiem, że z jednej strony przeludnienie Japonji dochodzi do rozmiarów wprost przerażających, i że z drugiej strony — wobec zwartego frontu anglosaksońskiego—Japonja nie ma możności znalezienia ujścia dla nadmiaru swej ludności. Faktem jest również, że zbrojenia Japonji i Stanów Zjednoczonych przekraczają w znacznej mierze normy, zakreślone przez Konferencję Waszyngtońską. Co do skuteczności interwencji Ligi Narodów wreszcie, nie należy sobie wogóle robić dużych nadziei. Powaga jej na Dalekim Wschodzie została zresztą mocno zachwiana przez Konferencję Panazjatycką w Nagasaki, na której przedstawiciele wszystkich państw azjatyckich opowiedzieli się przeciwko Lidze, uważając ją za narzędzie imperjalizmu europejskiego.

*

Jedynym czynnikiem pokoju na Dalekim Wschodzie jest dzisiaj fakt, że tak Japonja, jak i Stany Zjednoczone — wojny nie chcą. Japonja obawia się potęgi Ameryki i trzyma się wyłącznie stanowiska obronnego; Stany Zjednoczone zaś — nie ukrywają bynajmniej swej obawy przed możliwością zbrojnego konfliktu z Cesarstwem Wschodzącego Słońca. Amerykanie zdają sobie dobrze sprawę z dużych trudności, jakie mieliby do pokonania w razie wojny z Japonją—trudności zarówno natury strategicznej, jak i moralnej.

Strategicznie posiada Japonja na Oceanie Spokojnym bezwątpienia stanowisko uprzywilejowane, dzięki czemu n. p. opanowanie tak ważnej placówki amerykańskiej, jak Filipinów byłoby dla niej dziełem bardzo łatwem. Z drugiej strony należy wziąć pod uwagę, że flota japońska skoncentrowana jest całkowicie na Pacyfiku, podczas gdy flota Stanów Zjednoczonych podzielona jest przez przesmyk Panamski na dwie części, nie mogące się swobodnie ze sobą komunikować, mimo przekopanego kanału. Pod względem udoskonaleń technicznych marynarka japońska nie ustępuje w niczem amerykańskiej— przewyższa zaś ją o wiele z punktu widzenia wartości moralnej materjału ludzkiego, który dał już dowody swej niesłychanej odwagi i poświęcenia dla sprawy w wojnie japońsko-rosyjskiej.

Wreszcie zważyć należy, że Ameryka zabrnęła już tak daleko w abstrakcję pacyfistycznych formułek w stosunku do Europy, iż zbyt rażący brak konsekwencji w jej polityce mógłby stać się dla niej powodem wielu kłopotów...

*

Zagadnienie Oceanu Spokojnego nie znajduje dotychczas rozwiązania. Idea wzajemnej obawy, oparta na równowadze sił między Stanami Zjednoczonemi i Japonją, a będąca dzisiaj jedynym realnym czynnikiem pokoju na Pacyfiku—ta koncepcja zbyt jest słaba i nietrwała, by na niej zbudować jakąś poważną hypotezę rozwiązania tego problematu. — Czy punktem wyjścia dla zbliżającej się „Ery Pacyfiku" będzie najpotworniejsza w dziejach ludzkości wojna, przyszłość pokaże.

Paryż BOHDAN ZANIEWSKI

„KRÓL UBU"

W NOWYM cyklu zapowiedzianych romansowych biografij pod wezwaniem *„La Vie de Bohème"* (Grasset) porozdzielano między kilku paryskich pisarzy o ekscentrycznej renomie tematy w ten sposób, że o niesamowitym malarzu Modiglianim ma pisać dziwaczny Cendrars, o tajemniczym też malarzu Utrillu—Carco, między innych rozdano Nervala, Toulouse Lautreca, Apollinaire'a, sympatyczna zaś a niezmożona bojowniczka z najściem Chazarów na Paryż, pani Rachilde ma dać konterfekt A. Jarry.

Oczekujemy tego z łatwo wytłumaczoną niecierpliwością. W tym autorze, z dziwacznych najdziwaczniejszym tkwi przecież jakaś zagadka, która nas Polaków najspecjalniej oddawna frapuje wprost niepokojąco; dotychczas nikt jeszcze, kto o nim pisał, oprócz pewnych suppozycyj, nie powiedział nic konkretnego. Utworzyła się formalna legenda, pełna alluzyj, niedomówień i hypotez, ale gdzie, skąd, kiedy i w jaki sposób nastąpiło zetknięcie się z polskością A. Jarry, hyper-*bohemien*'a, nikt nic nie umiał powiedzieć ni objaśnić. Fakt pozostaje faktem, że gigantycznie rozczochrany, absurdalny, rozmierzwiony, rozkudlony, perwersyjnie gruboskórny, brutalnie fantastyczny pszkwil na Polskę, znany we Francji z 19-tu wydań, a noszący tytuł: *„Ubu Le Roi ou les Polonais"* napisał Jarry mając lat szesnaście, siedząc w prowincjonalnej dziurze, zanim jeszcze w Paryżu zetknął się z paryską bohemą tego odcinka stulecia między rokiem 1900 a 1906, *ergo* zanim mógł zobaczyć wogóle na oczy „żywego Polaka", względnie któregoś starozakonnika z *Taverne du Panteon* czy z innych kawiarń, gdzie się Polonia i „Cohnfederaty" zbierały.

Miejmy tedy nadzieję, że w swej biografji powieściowej pani Rachilde wreszcie nam jakoś tę tajemnicę rozświetli. Tajemniczą bowiem sprawa ta jest od samego początku.

Początek zaś był taki, że krągło lat temu czterdzieści t. j. wtedy, kiedy sprawa polska mniej więcej najgłębiej była w całej Europie pokryta przemilczaniem, a jutrzenka aljansu ftancusko-rosyjskiego właśnie wschodziła nad Europą, paryski cyganeryjski teatrzyk na Mortmartrze *„Les Marionettes"* odegrał sobie przy

odpowiedniem audytorjum dziką, sprośną komedję arystofanesowską, w której na głos mówi się bez przerwy jednym ciągiem najplugawsze, najrozwiąźlejsze, najtrywjalniejsze słowa, jakie „zaistniały" we francusczyźnie od Villona i Rabelais'go, jednym ciągiem, bez przerwy, bez wytchnienia, przyczem niektóre *cochonnerie* powtarzają się z uprzykrzenie natrętną monotonją; poprostu „świństwo" „świństwem" jedzie i „świństwem" pogania, do tego stopnia, że i Boyby tu się zarumienił i uszy zatykać musiał. Premjera miała *eclat* skandalu. Autor był nieobecny, bo jeszcze tkwił w gimnazjum. Utwór wydrukowano i odtąd podawano i podawano sobie z rąk do rąk jako *curiosum*.

Z Polaków, obficie wówczas w Paryżu koczujących, ani jeden literalnie o tej nowalji nie usłyszał, ani jeden na to: *ou les Polonais* nie zwrócił uwagi, słówkiem o tem nie dał znać do kraju. Już to trzeba przyznać, gdy się porównywa *service* informacyj kulturalnych z zagranicy, dostarczanych np. Czechom i czesko-słowackiej prasie z... naszym, to jak na tylu Polaków, rezydujących w Paryżu, dopływ jest skąpy, nikły i lichy i to stale,jak lat temu 40, tak i teraz. Coprawda często Polak, skazany biedą na dożywotni pobyt w ojczyźnie, zdumiewać się musi nad bezdnem ignorancji u tych, co świeżo z Paryża po długoletnim pobycie wróżiwszy, są tu jako „Paryżanie *in partibus inifidelium*" ale co było, co mogło być ciekawe w Paryżu, dowiadują się *ex post*... w Sarmacji.

To też i Alfredem Jarrym nikt jakoś z „rodaków" nie uważał za wskazane zająć się nieco, gdy ten z prowincji przeniósł się do Paryża i tutaj przeżył kilka lat górnych w dzikim, można powiedzieć opętanym i desperackim alkoholicznym szale. Książka o „Królu Ubu, albo Polakach" miała z kolei 18 wydań, Jarry stał się centrem i ośrodkiem krystalizacyjnym pewnej grupy, „szkoły", względnie bandy literackiej, wreszcie wespół z innymi dziwadłami t.z. „demonami absurdu" (Max Jacob, André Salmon, Rimbaud) zaczął wydawać efemerkę: „*Le Festin d'Ezope*", w której pisywali nawet Claudel, Valery, Apolinaire... pewne terminy z jego sarabandy *anti* i *quasi* polskiej, a już szczególniej słowo: Ubu i „Król polski Ubu" weszły w prasę, potem w życie jako *proverbes*, a mimo tego żaden Polak nie zainteresował się tym fenomenem. Było to zaś tem dziwniejsze, że do *cenacle* tych przyjaciół i adorantów Jarrego należał też słynny w zamkniętych kołach ekskluzywnej literatury perypatetyk i filozof z Warszawy *Mieczislas* Goldberg, wydający wtedy swoje „*Cahiers de M. Goldberg*".Co więcej, jeszcze w r. 1900 „*Mercure de France*", z którym przecież pewne stosunki Polacy mieli, wydał nowe wydanie ozdobne „*Ubu le Roi*" a *Polonais* nadal nie raczyli zająć się tajemniczym autorem.

A tymczasem rzecz godna była uwagi i wywiadu. Autor jak autor, poeta z czarciej łaski, alkoholik *summo gradu* desperacki, przemieszkiwał przy bulwarze *Saint Germain*, kochankę miał Małgorzatę Moreno pono wiedźmę gorszą od Verlainowskiej, pił na umór absynt z sacharyną, a bywało, że i atrament wleje, i tak dzień w dzień, noc w noc, aż wreszcie jako że „ulubieńcy bogów umierają młodo", a więc i on z wycieńczenia i z *delirium*, w szpitalu na ogólnej sali (1906); był pogrzeb jak Mimi Pinson.

Cztery tomiki po nim zostały i legenda i tradycja dziwadłowości już bezkonkurencyjnej, bo to i w kryminale wielokrotnie pono za strzelanie do garsonów i t. p. Co z jego twórczego dorobku zostanie w literaturze, to się pokaże dopiero. Jaki tam zaś za życia był, to był, nam znowu zaimponować ekscentrycznościami nie zaimponuje, bo w Krakowie i w Warszawie dziwniejsze *monstra miraculosa* bywały.

O to atoli rzecz idzie, skąd do niego się przyczepiła ta polska manja i skąd on się do tej Polski jak pijany płotu doczepił. Pomódz to tam nam tym utworem w opinji francuskiej nie pomógł, ale raczej setnie zaszkodził. W mentalności francuskiej elity prasowej, parlamentarnej, literackiej, dyplomatycznej ten „*Król Ubu*" (w r. 1921 znów na scenie teatru „*L'Oeuvre*" wznowiony, 17 lut.) uchodzi i nadal stale za najplastyczniejszy, choć groteskowo-wyolbrzymiony obraz polskiej permanentnej anarchji, zadzierzystej kłótliwości, partyjnego i fakcyjnego furjactwa nierzędności i bezładu. Z afisza teatru „*L'Oeuvre*" wskutek interwencji szybko go zdjęto, ale z świadomości intelektualnej elity francuskiej równie szybko wyskrobać go się nie da.

Skąd 15 letni chłopiec wszedł na ten temat i jakim cudem mógł utworowi tyle dać dynamiki, sugestywności i żywotności, to pozostanie zdaje się psychologiczną zagadką, nawet po monograficznym romansie pani Rachilde. Można tylko postawić pewną djagnozę wpływologiczną, to znaczy wykazawszy, co, gdzie i jak było we francuskiej literaturze satyryczno-krytycznego o państwie Sarmatów, udowodnić potem, gdzie w tekście tej szaleńczej arystofanesowskiej tragifarsowej hyperbujdy są pewne rezonanse, echa, pogłosy z dzieł historycznych, które mógł może na poddaszu jak Cervantes wertować chłopak, nazwiskiem Alfred Jarry, gimnazjasta. Bezwzględnie upada teza jakoby „*Ubu le Roi*" był sobie tylko jakąś zemstą — paszkwilem na jakiegoś pedanta, profesora historji a polskość w tem wszystkiem całkiem przypadkowem akcesorjum. Alfred Jarry wielokrotnie zajmował się w swym skromnym twórczym dorobku polskością, co więcej, napastował polskość, jak o tem świadczy n.p. sonet: „*Le Bain du Roi*", znacznie później napisany. Nie, to nie mógł być przypadkowy, kapryśny dobór środowiska przez swą kolorystyczność, egzotyczność i orjentalizm pociągającego tak, jak w „Życiu snem" Calderona.

Nie będziemy tu szerzej opowiadali treści tej wściekłej, opętańczej szopki, w malignie cerebralnej porodzonej. Szereg obrazów furjackich, prezentujących przygody najwulgarniejszego *conquistadora* pod słońcem, jakiejś odmiany Falstaffa, a najbliżej Marchołta grubego i sprośnego. Ubu-Mondragone z Aragonji (*sic*), dowódca gwardji króla Wacława, podbechtywany przez lubieżną megerężonę, po spisku przeciw swemu suwerenowi buntuje się, zagarnia władzę, przepędza króla, morduje rodzinę. Królewicz Bougrelas ucieka. Ugodowi magnaci godzą się z nowym nieporządkiem, czerń klaszcze uzurpatorowi i wtedy Ubu zabiera się do łupienia i zdzierania skóry z magnatów, których pakuje do lochów twierdzy toruńskiej. Jeden z wodzów pokonanych z dynastji, Bordure, ucieka do Rosji i wzywa cara Aleksandra Michajłowicza do najazdu. Następuje humorystyczna arystofanesowska bitwa na dzikich polach Ukrainy. Pobity Ubu chroni się na Litwę, w stolicy znowu rewolta, Bougrelas przychodzi do władzy, zbiera wojska i z książętami Leszczyńskim i Sobieskim atakują Ubu, który wreszcie z Babą chroni się na statek i wraca do... Hiszpanji.

Taka byłaby zatem „osnowa“ tej rozpasanej parodji. Co ma zatem oznaczać w tytule dodatek... *ou les Polonais?*... Główna figura, „bohater“ nie jest Polakiem jest Hiszpanem, Aragończykiem... Mon-dragone. Charakteryzując tę kukułkę jako żarłoka, tchórza, zarozumialca, niechluja, chciwca i paranoika, lubującego się w skatologji i koprolalji, biorąc dosłownie nie obraża Jarry polskości, tylko... Hiszpanję, Aragonję, skąd najwyraźniej ten zaciężny *landsknecht* pochodzi i dokąd wraca. Gdyby nie dodatek w tytule *„ou les Polonais“* obchodziło by nas to wszystko tyle, co śnieg zeszłoroczny. Dopiero ten dodatek w tytule poronionego a popularnego w licznych kołach francuskich płodu rozognionej fantazji awansuje przemijające zjawisko literackie na utwór, który zaciekawienie i ze strony polskiej musi sprowokować. Jeżeli bowiem w samym królu Ubu na pewno nie chciał dać Jarry synonimu czy symbolu polskiego władcy w absurdalnem przekrzywieniu, to jednak w całej tej pantominie klownowskiej świadomie czy nieświadomie, w hyperbolicznem zgęszczeniu i opuchliźnie, dane są jednakże stosunki, uwarunkowania, okoliczności, podłoże lokalne, klimat lokalny, które mogły wytworzyć tło i sztafaż z takim z „Chłopa-Królem“ harmonizujące i wściekliznę satyrycznej szarży niejako usprawiedliwiające.

I tu krótko musimy zestawić, z czego to, z jakiej lektury mógł czerpać soki i zasób wiadomości o Sarmacji młody student, aby w chorobliwej jego imaginacji mogła wytworzyć się taka skroś spaczona koncepcja stosunków, może nie stałych i panujących, ale jakiś czas w Polsce jednak istniejących. W komedji Al. Jarry echa i reminescencje bowiem są. Po skontrolowaniu z dziełem możemy je zestawić. Mógł tedy młody Jarry wertować liczne tomy, z których zostały mu w głowie męty i chaotyczny osad. Musiał mieć w ręku Woltera tragedję *„Minos“*, która się dzieje na Krecie, ale w której występuje król St. August jako Teveries a Sołtyk jako Phares, jest przebieg konfederacji Barskiej i usiłowanie porwania króla. Musiał mieć w rekę Rulhiére'a: *„Histoire de l'anarchie de Pologne“* a może i melodramat Picciniego grany często w *„Porte Saint Martin“* p. t. *„Stanislas Roi de Pologne“*. I musiał mieć w ręku markiza de Noailles w r. 1867 napisaną: *„Henri de Valois et la Pologne“* i musiał znać z obelżywych wierszy na Polskę i Filipa Desportes z r. 1572 „Pożegnanie z Polską“ (*Gallo crocitanti* odpowiedź) i poźniejszy z r. 1790 *„Orangutang en Europe ou le Polonais“*... najpierw po niemiecku wydany. Możliwe jest, że znał pamiętnik z Polski gen. Doumuriza, że czytał Thiersa: *„Histoire du Consulat“* (*l'esprit anarchique en Pologne*) Rambauda: *„Histoire de la Russie“* i Micheleta: *„Legendes democratiques du Nord“*, gdzie tyle razy mówią o *„race genereuse, mais crédule et un peu chimerique.“* Musiał znać w każdym razie Balzaca *„Cousine Bette“*, gdzie czytamy: *„introduisez 10% de sournoiserie anglaise dans le caractére polonais si franc, si ouvert et le généreux Aigle Blanc régnerait aujourd' hui partout où se glisse l' Aigle à deux têtes“*. I może słyszał od starszych młody gimnazjasta, co o Polakach mówili Mably, Talleyrand, Napoleon I i III, a w każdym razie słyszał w potocznej mowie *„ivre comme un Polonais“*...; nazwy najbardziej zapuszczonych, brudnych ulic i przedmieść Paryża... *„petite Pologne...“* i o drzewie na bulwarach, pod którem się schodzili kłamliwi reporterzy bulwarówek *„l'arbre de Cracovie“*, lub o wszelkich nieudałych terrorystycznych zamachach nazywanych *„bombes du vieux Polonais“*.

I z tego wszystkiego wytworzyła mu się chyba dziwna koncepcja tej dalekiej Polski jako nieco Szekspirowsko-Falstaffoskiej, nieco meksykańsko-aragońskiej krainy wiecznych spisków, konspiracyj, wojen domowych, zajazdów, najazdów, uzurpacyj, degradacyj, elekcyj, konfederacyj, jednem słowem permanentnej anarchji i swawoli, na której podłożu tle, może dopiero rozrość się taki „bohater narodowy“, taki opatrznościowy despota, taki muchomor ludzki jako ten „król Ubu“. Czy A. Jarry znał przedtem inne utwory dramatyczne na tle dziejowości polskiej osnute, o tem można też wątpić. Czy już w szkole mógł się zapoznać z Calderona *„La Vilda es Sueno“* lub z Szyllera fragmentem *„Demetriusa“* w Polsce się dziejącym, temu można zgóry zaprzeczyć. Poezja satyryczno-krytyczna zresztą nie zwraca się u Jarry przeciw Polakom jako rasie, jako charakterowi etnicznemu, ale wyłącznie przeciw tej olbrzymiej kukle elekta i *conquistadora*, awanturnika i pyskacza w jednej osobie, przeciw królowi Ubu.

Dla odmalowania tej dziwacznej, nieco poczwarnej, wrzaskliwej a wojowniczej, awanturniczej a tchórzliwej postaci Jarry, stwarza specyficzny język francuski. Ile razy „Król Ubu“ otwiera paszczę, by wypowiadać mowę, orędzie, manifest, tyle razy z ust Bramarbasa na tronie sypią się wyzwiska, oszczerstwa. kłamstwa, bufonady, plugastwa, sprośności, nędzne inwektywy i plugawe „drańs twa“. „Król Ubu“ szkaluje wszystko i wszystkich bez przerwy, używając obłędnie sprośnych, skabrycznych karczemnych słów „pijanego mnicha“, czy dorożkarza...

Są pewne ustępy w monologach „Króla Ubu“, pewne powiedzonka, które polski czytelnik dzisiejszy musi czytać poprostu ze zdumieniem, z osłupieniem, nie wierząc ze zdumienia oczom, nie zdając sobie sprawy, czy śni; czy majaczy, czy halucynacji ulega? Przecież to było napisane w r. 1898! Czterdzieści lat temu? Są wydania z tego roku! Skąd się to wzięło? Jak to wytłumaczyć? Co to za zagadka? Gdzie szukać rozwiązania? Czy wierzyć w jasnowidzenia historyczne? Na czem to polega? W czem rzecz? Czy są fakty przewidywania na tak odległe termina? Co na to mówią medjumiści, mistycy, spirytyści? czy ten utwór znają Wells i Conan Doyle?

Na te pytania prawdopodobnie odpowie nam w swej monografji o A. Jarrym pani Rachilde!

Może też i wypadałoby, czy opłaciło się przetłumaczyć to *curiosum opusculum* na język polski wraz z przdmową—polemiką—responsem: *Gallo crocitanti*? Tylko teraz ktoby się mógł podjąć tłumaczenia *Ubu le Roi*, to znowu kwestja, boć musi być ktoś, kto takim chuligańskim żargonem gracko włada, kto oszczerstwami nikczemnemi sypie jak z rękawa, dla kogo świat czy Polska jest jednym wielkim kryminałem — szpitalem i kloaką, jednem słowem, kto A. Jarry i Królowi Ubu dorówna, zamiast słów sypiąc...

No, ale nie używajmy tu rymów Króla Ubu i nie kuśmy się mu sprostać. Czekajmy cierpliwie... może tłumacz kongenjalny się znajdzie.

ADOLF NOWACZYŃSKI

LIBERUM VETO

Jeszcze jeden projekt konstytucji

Nowoczesna nauka wyrzuciła z historji bajkę i anegdotę. Popełniła przez to ciężki błąd: starła z opowieści dziejów barwy, nie nadawszy jej ścisłości, której ona posiadać nie może, bo przy najszczegółowszych badaniach pozostanie w znacznej mierze tylko utworem wyobraźni, szkieletem odartym z ciała i martwym. Jeżeli to, co opowiem, jest bajką, to jednak proszę czytelników, ażeby w niej odnaleźli historję. Obrabiacze nowej Polski, niezadowoleni z wniesionego do sejmu projektu „sanacyjnego", który wydaje się im nie dość despotyczno-demokratycznym, postanowili go przerobić i pogłębić w kierunku „radosnej twórczości". Ponieważ zaś, jak wiadomo, do wszelkiej czynności reformatorskiej najzdolniejsi są galicjanie, przeto sprowadzono jednego z najpomysłowszych, który już raz był użyty do „przewartościowania" rubli przedwojennych na grosze. Przybył. Zwołano zebranie. Przewodniczący komitetu organizacyjnego zagaił:

— Czcigodny mężu! Ile razy ojczyzna znajduje się w kłopocie, zawsze wzywa na *forum* najudatniejszego ze swych synów, a ty odpowiadasz: matko, jestem! Przybyłeś na jej wezwanie i teraz, ażebyś nam doradził, jaką mamy ułożyć konstytucję godną tej matki.

— Moi panowie. Nie mam dość czasu, ażeby z wami redagować kolejno paragrafy konstytucji, zrobicie to sami, gdy wam wskażę ogólne zasady. Poczerpną zaś je z najlepszego źródła, ustaw i dziejów rzymskich, które po wsze czasy były i pozostaną wzorem prawodawstwa. Zacznę od głowy państwa. Wiadomo, że Rzym miał z początku jedną głowę królewską, potem kilka głów republikańskich, a wkońcu jedną głową cesarską. Ta ostatnia dopiero zrodziła te liczne przywileje, które słusznie należą się kopule bazyliki państwowej. Przedewszystkiem nie może ona być uważana ani za istotę ludzką, ani za podległą jakimkolwiek prawom. Ogół społeczny, który zawsze i wszędzie jest ciemnym motłochem, powinien wierzyć, że jego władca jest bogiem lub przynajmniej półbogiem, bardzo blisko spokrewnionym z bogami. Wszyscy bohaterowie greccy byli albo potomkami bogów, albo pozostawali z nimi w bliskich stosunkach i przechodzili z ziemi do nieba. Tę wiarę przejęli dla siebie monarchowie rzymscy. Pierwszym, który urzędownie w swych edyktach nazwał się „bogiem i panem", *deus et dominus* był cesarz Domicjan, który niechętnych mu ludzi słusznie mordował i dla utrzymania się w mocy obsypywał wojsko dobrodziejstwami. Błędnem byłoby mniemanie, że wielcy mężowie sami nadawali sobie te godności.

Bogiem nazwali Oktawiana naprzód poeci, trochę opierał się on tytułowi pana, ażeby nie urazić narodu, który wobec tego stawał się zbiorem jego niewolników, imię zaś Augusta otrzymał od tłumu, który wjeżdżającego witał okrzykiem: *auguste!* (czcigodny). Wogóle trzeba instynktowi ludu przyznać mądrość i prawo ozdabiania nadzwyczajnych mężów nadziemskiemi epitetami. Jeśli on wierzy, że ktoś jest podobny do Atlasa dźwigającego na swych barkach ziemię, do Posejdona wzburzającego morze, do Zeusa ciskającego pioruny i płodzącego 50.000 dzieci, do Herkulesa wykonywającego 12 czynności, których nikt nie mógł wykonać i posiadającego łuk z niechybnemi strzałami, którego cięciwy nikt nie zdołał naciągnąć — to nie trzeba tego przekonania uważać za niedorzeczny przesąd lub podłe bałwochwalstwo, lecz za uroczysty wybuch czci. Może panom wiadomo, że wyraz łaciński *ovatio* (owacja) pochodzi od krzyku ludu: o! o! o! Najwyższy zwierzchnik państwa, oprócz epitetów zdobiących, musi mieć tytuł główny, konstytucyjny. „Król" lub „cesarz" są już przestarzałe i niepopularne, „prezydent" spospolitowany i przypomina burmistrza, „naczelnik" — odpowiedni dla urzędnika, „dyktator"—czasowy, u Rzymian sześciomiesięczny. Jedynym właściwym tytułem mógłby być tylko „triumfator", co się również da uzasadnić dziejami rzymskiemi. Pamiętacie panowie z nauki szkolnej, że najwyższym zaszczytem rzymianina był wjazd triumfalny do stolicy na rydwanie, z koroną na głowie. Za respubliki zaszczyt ten przyznawano zwycięskim wodzom powracającym z wojny, za cesarstwa tylko monarchom i to zarówno po szczęśliwych jak po nieszczęśliwych wyprawach wojennych a nawet po zwyczajnym spacerze na czele armji. Bitwę pod Filippi wygrał Antonjusz, przy Myle i przy Akcjum—Agryppa, mimo to cherlawy i lękliwy Oktawjan odbył wjazd triumfalny i zaliczony został przez senat do bogów. Toż samo czynił Domicjan. Kaligula wkroczywszy do Galji, kazał wojsku nazbierać muszli na brzegach morza i z tym łupem jako triumfator wjechał do Rzymu. Było to rozumne i słuszne. Bo kto zwycięża? Wojsko. Czyje jest wojsko? Władcy państwa. Więc komu należy się triumf? Jemu. A jeżeli nawet poniósł klęskę lub tylko przespacerował się z wojskiem, nie przestawał być triumfatorem.

Będąc bogiem i panem, powinien, jak w Rzymie, być również najwyższym kapłanem (*pontifex maximus*), posiadać ołtarz w kościele, wszystkie nabożeństwa, codzienne czynności urzędów, lekcje w szkołach powinny rozpoczynać się od modlitwy za niego i do niego; najwyższe góry, największe rzeki, place i ulice, nowozałożone wsie i miasta, morskie porty, okręty winny być nazywane jego imieniem; dzień jego urodzin powinien być najuroczystszem świętem narodowem a pogwałcenia tego dnia pracą karane policyjnie i sądowo. Natomiast w prasie powinno być zakazane wspomnienie jego imienia i dozwolone tylko zastępowanie go zaimkami, drukowanemi wielką literą początkową: On, Jego, Mu i t. p. o ile nie będą użyte tytuły: Triumfator, Bóg i Pan. W świątyniach wszystkich wyznań powinny się znajdować jego portrety i posągi z bronzu, a w archikatedrze—jak Ateny w Partenonie i Zeusa w Olimpji, ze złota i słoniowej kości, z berłem w prawej a statuetką bogini zwycięstwa *(Nike)* w lewej ręce, u stóp z puszką Pandory, z której wzlatują wszystkie nieszczęścia i pozostaje jej jedna tylko nadzieja; mieszkać będzie w pałacu z białego marmuru, stojącym na pustym placu, wysoko okratowanym, na którym rosnąć będzie jedno święte drzewo oliwne, — jak w olimpijskim Altis — dostarczające gałązek na wieńce dla Jego ulubieńców. Wejście na ten plac a tem bardziej do pałacu będzie wzbronione pod karą śmierci i strzeżone przez artylerję, piechotę, kawalerję i unoszące się ponad nim samoloty.

W przejazdach otaczać ma Triumfatora orszak tysiąca zbrojnej straży (*cohors praetoria*), a jeśli raczy gdzieś wysiąść i iść pieszo, poprzedzać go będą liktorzy z wiązkami rózeg. Wszystkie rozmowy i czynności Triumfatora odbywać się będą w najgłębszej tajemnicy, jak misterja eleuzyjskie. Cokolwiek On powie, będzie mądrem, chociażby opowiadał bajkę dziecinną lub wymieniał litery alfabetu, a cokolwiek zrobi, będzie sprawiedliwem, chociażby, jak Nero Britannicusa i Senekę, zabił swego brata i nauczyciela. Tu muszę położyć szczególny nacisk na przesąd moralizatorski, dotyczący okrucieństwa bogów, panów czy triumfatorów. Zachwycamy się mitologją grecką a jednak wszyscy jej bogowie mordowali bez litości: Zeus zabił tysiąc ludzi, przykuł do skały

Prometeusza, tłukł i wyrzucał z nieba swoją żonę; Kronos pożarł własne dzieci, które musiał wykrztuszać; łagodny Apollo zastrzelił 6 synów i 6 córek Nioby, która z bólu skamieniała, a królowi Midasowi przyprawił ośle uszy za to tylko, że nie pochwalił jego gry na flecie, nawet wesoły Bachus rozerwał końmi króla Likurga. Odysseusz, spotkawszy Achillesa w świecie podziemnym, chwalił jego syna Neoptolama, że po zdobyciu Troi zabił starego Prima przy ołtarzu Zeusa, zabiwszy przedtem jego syna wobec ojca, a jego wnuka zrzucił z wieży.

Triumfator powinien mieć również przywilej wolnego i bezkarnego zabijania. Jako drugi łączny z tym — sowitego wynagradzania faworytów. Należeli do nich w Rzymie *publicani*, którzy za rozmaite usługi jawne i tajemne otrzymywali dochodne użytki i dzierżawy przedsiębiorstw państwowych, dalej *mesachori*, którzy dawali znak tłumowi, kiedy trzeba oklaskiwać i wznosić okrzyki na cześć cesarza, skryci mordercy jego przeciwników, wysławiający go literaci i mówcy. Najulubieńszy z faworytów otrzymywał nie tylko wysokie godności, ale znaczne sumy na bachanalje, na których w gronie towarzyszów występował jako król lub mistrz picia (*rex, arbiter bibendi*). Androkles, zbiegły niewolnik prokonsula rzymskiego, przebywając w pustyni, wyjął kolec z łapy lwa kulejącego, który poznawszy schwytanego i oddanego mu na pożarcie czule go polizał. Jeżeli tak odwdzięczył się lew, to chyba może na swój sposób za większe usługi wynagradzać Triumfator.

Wskazałem panom najważniejsze zasady nowej konstytucji. Inne, mniej ważne, sami sobie wysnujecie. Trzeba przytem jednak ciągle pamiętać, że Triumfator jest nie tylko źródłem wszelkich praw, ale wszelkich uzdolnień, że należy zawsze go podziwiać i bezwzględnie mu ufać. Gdyby komukolwiek rozkazał łazić po pułapie jak mucha głową na dół, ten niech będzie przekonany, że mu się to uda.

Jeśliby wszakże znalazł się między wami ktoś — czego wolałbym nie przypuszczać — twierdzący, że przytoczone przeze mnie fakty pochodzą z czasów upadku społeczeństwa rzymskiego, niech sobie przypomni, że na bagnach rosną wspaniałe kwiaty nenufary, że takiemi nenufarami w Rzymie, nie licząc skazanego na wygnanie za nieprawomyślność Owidjusza, byli Horacy, Wirgiljusz, Tacyt i inni. Nasze nenufary łatwo sami sobie wymienicie.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

W CIENIU TRUMNY MARSZAŁKA

RZADKO niezmiernie wyczuć można w życiu zbiorowem promieniowanie ideału i rasowe odruchy miljonowych rzesz ludzkich w kierunku zbożnym. Rzeczy te są tem cenniejsze, że wywołują chwile olśnienia—to, co w języku mistyków określa się słowami „*touches brûlantes de l'amour*". I to właśnie było cechą charakterystyczną wielkich uroczystości żałobnych u trumny Marszałka.

Czyż jednak mogło się obyć bez zgrzytów? Czyż jest do pomyślenia, że olbrzymie napięcie moralne, pod znakiem najistotniejszych porywów ducha narodowego i wcieleń tego wszystkiego, co jest katolickie do szczętu—mogło nie wywołać reakcji sił ciemnych? „Gdy tylko zły duch, mówi św. Jan od Krzyża, wyczuje olśnienie duszy ludzkiej — wytęża wszystkie swe siły, by je obniżyć, chociażby w najdrobniejszej cząsteczce — gdyż woli odjąć malutkie ziarno tym, co zrozumieli prawdę, aniżeli pogrążyć w mrokach najcięższego grzechu tych potępionych, którzy i tak losu swego nie ujdą."

Kilka słów o Francuzach. Potem — parę uwag *pro domo nostra*.

Gdy Prezes Rządu Francuskiego obwieścił z trybuny śmierć wielkiego Marszałka, wszyscy prawie członkowie Parlamentu zerwali się z miejsc. Ale chamstwo nie mogło pominąć dobrej okazji. Komuniści manifestacyjnie siedzieli. Byli wojskowi nie mogli znieść tej obelgi. Zareagowali. W jaki sposób — łatwo się domyśleć. Ale fakt miał miejsce. Powaga chwili ucierpiała. (Nawiasem mówiąc, ludność zachowała się zupełnie poprawnie. Chamstwo komunistyczne jakoś przyczaiło się na chwilę).

Teraz fakt drugi. Trzeba zbiegu okoliczności, że bezpośrednio prawie po śmierci Marszałka zmarł generał Sarrail. Był on niegdyś adjutantem generała André, osławionego ministra z czasów sprawy Dreyfussa. Ów André był Żydem. Wprowadził on do armji system denuncjatorski — (*affaire des fiches.*) Loże masońskie wydawały oficerom świadectwa prawomyślności. Ci, którzy uczęszczali na mszę, w najlepszym razie nie awansowali, zwykle jednak zwalniani byli przez komisje sanitarne „z powodu słabego zdrowia". Wiemy i my coś niecoś o takich komisjach.

Nie mówmy o porażkach gen. Sarrail'a na froncie francuskim, o roli jego w Salonikach, o masakrze niepotrzebnej marynarzy francuskich w Atenach, o wielkich i krwawych rozruchach w Syrji za czasów jego wielkorządztwa. Umarł. Był dowódcą samodzielnej armji, więc według ustawy, ma prawo do honorów „pogrzebu narodowego" w krypcie u Inwalidów. Rozumiał jednak, że nie wszystko było w porządku, gdyż w testamencie zrzekł się asysty wojskowej. A jako mason wyższego stopnia — „*le vrai général républicain*" — zażądał pogrzebu „świeckiego" bez księdza.

Marszałek spoczywa dziś pod sklepieniem kościoła Panny Marji *des Invalides*, o parę kroków od trumny Cesarza. Masoński generał ma się znaleźć w pobliżu, również na poświęconej ziemi, w tak zwanym „*caveau des Gouverneurs*".

I za życia i po śmierci, Marszałek skazany jest na przebywanie w otoczeniu tych, którzy napis INRI czytali „*In nomine regis inferni*".

Dobrze, że choć w kościele pod wezwaniem Bogurodzicy, Królowej Korony Polskiej.

*

Przejdźmy teraz do naszych spraw polskich.

Jeszcze przed pogrzebem niejaki Ludovic Naudeau dziennikarz pośledniejszy, ogłosił w paryskim „*Journalu*" i kilku pismach prowincjonalnych wspomnienia swoje o pobycie Marszałka w Polsce. Pomińmy szereg jego nietaktów, wypominanie p. gen. Kaz. Raszewskiemu, że służył w armji pruskiej etc. *Guarda e passa*. W elukubracjach jego jest pewna nuta ciekawa. Jakby zapowiedź, że w czasie pogrzebu nie wszystko będzie w porządku.

„W Warszawie ogromny tłum przyjmował Marszałka entuzjastycznie... Ale jakaś osobistość o spojrzeniu ponurem, o wąsie zaniedbanym, w małej czapeczce i stroju napół wojskowym, różniącym się od przepisowego munduru generałów polskich, trzymała się na uboczu. Uczestniczył on w przyjęciu Marszałka, zachowując się jednak, mimo tego celu, według swojej fantazji (...*agissant en cela, comme en but, suivant son bon plaisir*). *C'était*...i t.d.

...Naogół jednak Marszałek, dzięki swym talentom osobistym, ratował każdą sytuację i nic go nie wyprowadzało z równowagi".

Oto jest prolog tego, co miało mieć miejsce podczas pogrzebu. Francuzi nawet spodziewali się, że nie wszystko pójdzie gładko z punktu widzenia franko-polskiego. Było to ostrzeżenie.

I cóż? Przed zwłokami Marszałka ukląkł, na drugi dzień po zgonie, wielki król Albert. Trumnę odprowadzili książe Walji, hrabia Flandrji, wszyscy marszałkowie angielscy. Czesi nawet przysłali oddział wojska. A Polska?

Ambasador Chłapowski, jak zawsze, był na wysokości zadania. Szczegół mało zauważony — nie było wogóle kwiatów — a jedyny bukiet białych i czerwonych róż na śmiertelnem wezgłowiu złożony był przez pp. Chłapowskich.

Ale delegacja wojskowa? Gen. Romer i kilku oficerów? Jeżeli Czechosłowacja mogła posłać oddział? A przecież Foch był marszałkiem Polski, nie Czech. Dla Niego stworzony został ten tytuł. Sejm tę godność hetmańską zatwierdził. I Polska nie przysłała oddziału honorowego.

Dalej, W pismach francuskich ukazały się notatki, że wszyscy oficerowie Polacy, przebywający we Francji, wezmą udział w pogrzebie. Najliczniejsza grupa wojskowych polskich przebywa w Tulonie na kursie wyższym marynarki wojennej — 17 oficerów i 18 podoficerów. Otóż, trzeba było dopłacić tym oficerom po 8 fr. 40 dziennie djet dodatkowych kawalerom, po 4 fr. szwajc. 20 dziennie żonatym, na trzy dni, *plus* koszta podróży. Jest 7 żonatych, 10 kawalerów. Rachunek łatwy. 302 fr. szwajc.—1.500 franc., 530 złotych. Francuzi dawali bilety wolnej jazdy — a gdyby nawet trzeba było płacić, to po 30 fr. fr. od osoby wyniosłoby to 6.460 fr. — 2.300 zł., razem z djetami 2.830 złotych. Czy państwo, które może sobie pozwolić na przekroczenie budżetu o 8.000.000 złotych dla prezydjum Rady Ministrów w czasie wyborów, nie stać na 2.380 zł. celem uczczenia Marszałka Polski? A przecież chodziło, wobec biletów wolnej jazdy, tylko o 530 zł.

Powie ktoś—wyższa szkoła marynarki wojennej, wykłady... Nic podobnego. Nie było żadnych wykładów, ani wyjść w morze. Wszyscy byli wolni, bo w Tulonie w okresie przedświątecznym pracuje się mało, i były dzień w dzień nabożeństwa, a admirałowie są przeważnie katolicy i liczą się z religijnością podwładnych. Zresztą—był to pogrzeb Foch'a. A to wszystko mówi...

Przykro wprost było, gdy Francuzi pytali — dlaczego Polska nie wysłała oddziałów wojskowych?

Na szczęście, znaleźli się Hallerczycy w Paryżu. I zamiast mundurów dzisiejszych — jaśniał wśród byłych wojskowych nasz hallerowski mundur błękitny... I żołnierz polski konwojował trumnę Marszałka, któremu powierzono buławę Czarnieckich i Żółkiewskich.

EDWARD LIGOCKI

KONIEC RADOSNEGO POCZĄTKU

Z WYSIŁKIEM prasa polska wymogła na gospodarce pocztowej udogodnienie w postaci ryczałtowej opłaty za wydawnictwa dostarczane przez pocztę. Zdawało się, że wchodzimy w tym zakresie na drogę praktyki zachodnio-europejskiej. Urwało się to jednak przy gospodarce „sanacyjnej". P. Miedziński, dla którego stworzono exstrapocztowe ministerjum, wolał wdać się w radosną „rozbudowę", która doprowadziła do skandalu, niż dalej pracować nad rozwojem organicznym tej ważnej gałęzi gospodarstwa narodowego. Dyrekcja poczt w Warszawie zarządzeniem z 7 marca r. b. cofnęła ową reformę, jako przyczyniającą zbyt wiele kłopotu listonoszom.

Robimy więc w gospodarce państwowej: krok naprzód, dwa kroki w tył. Dla dogodności listonoszów w Wielką Sobotę nie roznoszono poczty w całości, a w drugie święto również listonosze nie działali. Tego jeszcze nie było nigdy. „Myśl Narodowa" wysłana w piątek, we wtorek dopiero doszła rąk czytelników warszawskich.

Mamy obrazek, jak wygląda zetatyzowana praca, gdy się ją przepoi duchem socjalistycznym i dowód, jak łatwo w tym kierunku idąc, dojść do stanu bezwładu Rosji bolszewickiej. Cywilizacja staje się ciężarem nieznośnym. Za dużo roboty!

Sanatorzy się dziwią, że hasła upaństwowienia przemysłu tak nieufnie przyjmowane są przez społeczeństwo. Czyż my nie patrzymy na gospodarkę państwową w tym ściślejszym, niekwestjonowanym zakresie, jak poczta, lasy, kolej. Tam przecież najłatwiej byłoby przekonać ludzi do radosnego systemu. Widzimy jednak, że państwo nie ma możności przewieźć własnemi środkami drzewa ze swego lasu do swojej kolei, tylko musi uciec się do Żydów, nie mających ani jednego patyka przy sobie i dać im zysku — jak było teraz — 11 miljonów za pośrednictwo w przewiezieniu pewnej ilości podkładów z lasu na linję.

Przy szkole gospodarstwa rolnego trzeba postawić domek z kilku pokoików. Człowiek miejscowy postawiłby go w dwa miesiące. Tutaj potrzeba na każdą decyzję i asygnatę czekać zjazdu delegatów trzech ministerjów, którzy jakoś nigdy spotkać sie nie mogą. Kiedy dom stanie, ile będzie kosztował? — Bogu wiadomo.

Zawsze i wszędzie biurokratyczna gospodarka jest droższa i powolniejsza. Ale w tym wypadku wchodzi w grę w dodatku rozkład moralny i zupełny brak zaufania wzajemnego, który udaremnia zbiorową robotę.

ORGJA ŁUPIESTWA

CZY można spokojnie patrzeć bez końca na systematyczne wyłudzanie grosza przez jakieś zorganizowane towarzystwo miłośników pieniędzy? Czy nie znajdzie się nareszcie jakaś władza państwowa czy moralna, któraby powściągnęła tę żądzę grosza, ściąganego z kraju przy pomocy podstępu, żebraniny, wymuszania?

1. Jak widzieliśmy w pewnych kołach BB i w odpowiedniej prasie do największego zaognienia doszła walka o fundusze dyspozycyjne. Obojętne były pozycje podstawowe budżetu, czy skarb się zawali, czy nie, aby tylko utrzymane były fundusze dyspozycyjne, wydatkowane bez kontroli. Opinja wie dobrze, o co chodzi. Jest to główne źródło odżywcze radosnej twórczości dla sfery do tego źródła zbliżonej. To dobroczynny Nil, który kanalikami użyźnia wyjałowioną pustynię i utrzymuje w kwitnieniu „oazy".

Doszło do tego, że gdy parlament skreślił parę miljonów dyspozycyjnych z budżetu wojskowego, miłośnicy tych źródeł postanowili demonstracyjnie zebrać tę sumę przy pomocy starostów i samorządów. Postanowiono zrobić to pod hasłem daru dla ministra Piłsudskiego. Ale czy z jego wiedzą? Wątpimy. Zaczęła się gorsząca karota, wprowadzająca w zdumienie nawet tych, którzy przestali się już dziwić czemukolwiek.

Sanacyjna „Epoka" z d. 2 kwietnia ogłasza:

„Starosta w Wysokiem-Mazowieckiem zawiadomił p. wojewodę białostockiego, iż na posiedzeniu Wydziału Powiatowego odbytem pod jego przewodnictwem zapadła jednogłośna uchwała dobrowolnego opodatkowania się przez wszystkich mieszkańców powiatu Wysoko-Mazowieckiego w wysokości 10 groszy od osoby na rzecz funduszu dyspozycyjnego P. Ministra Spraw Wojskowych. Gminy

wiejskie i miejskie zaliczą zgóry przypadające na ich mieszkańców sumy z funduszów własnych, poczem zbiorą wpływające datki od interesowanych, a ewentualne niedobory wywołane niemożnością, czy niechęcią płacenia uzupełnią z kredytów własnych. Uchwała została przez mieszkańców m. Wysokie-Mazowieckie z entuzjazmem przyjęta".

Przybył więc nowy podatek bez żadnej do tego podstawy prawnej. Podatek grosza i entuzjazmu.

2. Powszechne narzekanie w sferach przemysłowych wywołuje system wymuszania ogłoszeń kosztownych przez wydawnictwa sanacyjne, operujące pogróżkami lub obietnicami. Pomimo krzyku opinji publicznej, znowu „Głos Prawdy" wydał cały tom pod swoim śmiesznym tytułem, zapełniony ogłoszeniami, wyciśniętemi z samorządów, przedsiębiorstw państwowych i prywatnych. Jest to przeważnie grosz publiczny w drodze podatków ściągany. Kto pozwala na takie marnowanie pieniędzy?

3. Współpracownik naszego pisma, członek parlamentu z obozu narodowego, otrzymał przed świętami wezwanie na pocztę, do odebrania przesyłki. W dobrej wierze uiścił zaliczenie, które obciążało paczkę, w kwocie 7.50 zł. i cóż się okazało? Była to ramota jakiegoś Niwińskiego, wydana—jak głosi prospekt—„przy współudziale prezesa okręgowego Związku legjonistów polskich dla uczczenia dnia imienin marszałka Józefa Piłsudskiego". Panegiryczny ten śmieć, bez żadnej wartości literackiej, stał się środkiem nowej karoty dla sfer sanacyjnych i znowu pod zaklęciem magicznego nazwiska. Przesyłka, o której mowa, nosi numer porządkowy 500-y. Rozesłano w sposób tak bezczelny napewno parę tysięcy egzemplarzy, co dowcipnemu przedsiębiorstwu przyniesie kilkanaście tysięcy złotych zysku.

Stosunki tego rodzaju przez jakąś bandę coraz brutalniej wprowadzane, a zmierzające do ustalenia w zwyczajach jawnego rabunku i oszustwa, powinny zwrócić uwagę prokuratury. A z drugiej strony powinien się wreszcie znaleść ktoś odważny, któryby nie bojąc się pomsty, powiadomił o tem, co się dzieje, samego ministra Piłsudskiego. Trudno uwierzyć, aby to się działo z jego wiedzą, we wszystkich tych wypadkach nazwisko jego jest zapewne nadużywane.

Z POLITYKI ZAGRANICZNEJ

Z KRAJÓW DYKTATURY

WŁOCHY i Hiszpanja były w ostatnich czasach przedmiotem dyskusji w prasie europejskiej: Włochy ze względu na plebiscyt, jaki się tam odbył 24 marca; Hiszpanja ze względu na trudności, z jakiemi ma do czynienia rząd Primo de Rivery. Obydwa te kraje łacińskie są rządzone metodą dyktatorską; istnieją stąd między niemi pewne podobieństwa, lecz zarazem bardzo duże różnice, wynikające z bardzo różnej na dwóch półwyspach przeszłości dziejowej.

Dyktatury włoska i hiszpańska są o tyle podobne, że działają pod osłoną monarchji, że są antymasońskie i opierają się na ideologji wybitnie narodowej. Dotychczas cieszyły się też obydwie uznaniem w swych krajach i wychodziły z wszelkich trudności z powodzeniem. Różnica między Mussolinim a markizem d'Estella polega przedewszystkiem na tem, że Mussolini rozpoczął gruntowną przebudowę nietylko polityczną, lecz również społeczną i gospodarczą Włoch, że głosi program ewolucyjnego przeobrażenia państwa i społeczeństwa, uważa się za prekursora nowego okresu w życiu narodów cywilizacji zachodniej; Primo de Rivera natomiast postawił sobie cel o wiele skromniejszy—objął władzę dla zaprowadzenia porządku w administracji państwowej i zapowiedział, że władzę tę złoży w ręce królewskie, skoro tylko uzna, że zadanie swoje spełnił.

Dziś nikt już nie wątpi, że Mussoliniemu towarzyszy zupełne powodzenie. Fakt, iż otrzymał przy plebiscycie 24 marca 8.506.000 na 9.650.000 głosujących świadczy niezbicie, że porządek faszystowski jest już utrwalony na półwyspie Apenińskim. Zaś zawarcie ugody z Watykanem jest historycznym sukcesem rządu Mussoliniego, sukcesem, którego następstwa moralne i polityczne będą tak wielkie, że dziś trudno je wprost przewidzieć i obliczyć. Włochy będą się stawały coraz większą potęgą w Europie i będą oddziaływały w sposób decydujący na bieg spraw na naszym kontynencie.

Początkowo cieszyły się rządy Primo de Rivery zupełnem powodzeniem. Istotne zaprowadzenie ładu w administracji, zapewnienie ładu w życiu publicznem oraz likwidacja zatargu marokańskiego zrobiły im prawdziwą popularność. W ciągu ostatnich miesięcy wszakże znalazł się dyktator hiszpański wobec poważnych trudności. Wiemy z dzienników, że musiał stłumić „bunt" oddziałów artyleryjskich w Ciudad Real i aresztować przywódcę konserwatystów, który wylądował na terytorjum hiszpańskie, by objąć dowództwo nad ruchem, skierowanym przeciw dyktaturze; wiemy, że wystąpiła przeciwko rządowi obecnemu młodzież uniwersytecka, co doprowadziło do zamknięcia niektórych wyższych uczelni. Warto pamiętać o tem, co było przyczyną tych ruchów. Artylerzyści byli niezadowoleni z tego, że rząd zamiast awansów według starszeństwa wprowadził awansowanie według zasługi. Studenci protestowali przeciwko równouprawnieniu dwóch wyższych uczelni katolickich, co uważali za oddanie nauki pod wpływ Kościoła. Warto też pamiętać o tem, że „bunt" wojskowy zakończył się bez jednego wystrzału, a studenci demonstrowali w sposób, nie zagrażający zbytnio porządkowi publicznemu.

Wprawdzie większość prasy światowej głosi już od szeregu tygodni upadek dyktatury w Hiszpanji; jeśli się wie wszakże, jak wielkie są wpływy masonerji na prasę i jak masonerja nienawidzi rządów obecnych we Włoszech i w Hiszpanji, to się czyta te głosy prasy z wielką nieufnością. Niemniej przeto jest faktem, że Primo de Rivera mówi coraz częściej publicznie o swym zamiarze proszenia króla, by go zwolnił ze stanowiska, które dziś zajmuje, nie jest tedy—jak się zdaje—rzeczą wykluczoną jego ustąpienie. Trudno zdaleka osądzić, co się dzieje w rzeczywistości w Hiszpanji, trudniej jest jeszcze bawić się w proroka, co nastąpi tam w czasie najbliższym. Mimo to zaryzykujemy przypuszczenie, że najprawdopodobniej nawet ustąpienie Primo de Rivery nie doprowadziłoby do zmiany systemu rządów w Hiszpanji, lecz że miejsce ustępującego dyktatora zająłby kto inny, albowiem — o ile się orjentujemy — zadanie, które sobie postawiły rządy obecne, nie jest jeszcze wykonane. Rodzi się też pytanie, czy można usunąć wady dotychczasowego systemu, wady, które doprowadziły do przewrotu, bez gruntownego przeobrażenia nie tylko metody administracji, lecz także całego życia politycznego, społecznego i gospodarczego? Nie jesteśmy, przyznamy się szczerze, przygotowani do odpowiedzi na pytanie powyższe.

S. K.

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Zeszyt 2-3 (za luty—marzec) miesięcznika „Awangarda", organu Młodych Obozu Wielkiej Polski zawiera (na 32 stron.) rozważania dr. Zdzisława Stahla p. t. „Prawo niepopularne", poczem następują artykuły: Ryszarda Piestrzyńskiego „Nietylko silny rząd, ale i silny ustrój" (w związku z ostatniemi projektami konstytucyjnemi), Jana Mosdorfa: „Typy społeczne jako wynik wychowania ugrupowań politycznych", Mieczysława Piszczkowskiego „Pochwała wysiłku", Klaudjusza Hrabyka „Rusini w chwili obecnej". Dalej Jana Zdzitowieckiego list z Rzymu, miesięczny przegląd polityki wewnętrznej, zagranicznej i życia gospodarczego, recenzje nowych książek oraz obfitą kronikę Ruchu Młodych i życia młodzieży wogóle.

Prenumerata „Awangardy" wynosi 10 zł., półroczna 5 zł. Konto czekowe P. K. O. nr. 203851. Adres „Awangardy": Poznań, św. Marcina 65.

*

Nakładem księgarni Trzaski, Everta i Michalskiego ukazała się powieść Aleksandra Świętochowskiego „Nałęcze". „W tej powieści, która wchodzi obecnie w skład literatury polskiej"—pisze w przedmowie Adam Grzymała-Siedlecki—„mamy też pasmo marzenia o ludziach ideału... Jest tu też obrona tej wartości historycznej i etycznej, która się skupia w pojęciu: ród, tak dziś świadomie i podświadomie zwalczany — ale zaszczytem rodu nie może być herb, lecz duch... Rzecz jasna, że ten na etycznych zasadach oparty elityzm Swiętochowskiego różni się krańcowo od elityzmów, opartych li tylko na sile, energji lub konjunkturze wypadków".

O „Nałęczach" napiszemy wkrótce obszerniej.

*

Biuletyn księgarski Gebethnera i Wolffa podaje do wiadomości: Najnowsza książka Zygmunta Wasilewskiego zawiera trzy większe szkice krytyczne z zakresu poezji: o Wyspiańskim, Staffie i Iłłakowiczównie (ostatni ma wagę poprostu rewelacji krytycznej) oraz cały duży zbiór recenzyj teatralnych z ostatnich sezonów. Autor rozróżnia twórców według budowy psychicznej pewnego typu cywilizacji, przeciwstawiając tę metodę uniwersalistom, zacierającym umyślnie momenty osobowości na rzecz wyłącznie przedmiotu tworzonego. Książka jest, jak zwykle u Wasilewskiego, głęboko ujęta i syntetyczna, co uderza nawet w jego krótkich notatkach teatralnych, u innych zwykle dorywczo redagowanych. (Nakł. Gebethnera i Wolffa. Cena zł. 7.50).

*

Niedobrze świadczy o współczesnej umysłowości polskiej brak zainteresowania najodleglejszą, przedhistoryczną przeszłością naszej ojczyzny. Dowodzi on nie zastanawiania się poważnego nad własną psychiką narodową, nad jej indywidualnemi, odrębnemi cechami, na które właśnie poznawanie epoki najdawniejszej rzucić może najciekawsze i najbardziej pouczające oświetlenie. Wśród narodów zachodnio - europejskich, badania dotyczące ich początków, hypotezy, odnoszące się do dziejów i kultury pierwotnych mieszkańców ich ziem, interesują najżywiej nietylko ciasny krąg uczonych specjalistów, ale także szerokie koła inteligencji wszelkich zawodów. U nas przeciętny „inteligent" rzadko sięga wyobraźnią i zainteresowaniami historycznemi poza epokę rozbiorów, w najlepszym razie poza epokę wojen szwedzkich.

To też wielką w naszych warunkach zasługą są wydawnictwa takie, jak np. praca prof. Kostrzewskiego o „Wielkopolsce w czasach przedhistorycznych" lub ostatnio wydane obszerne dzieło prof. Włodzimierza Atoniewicza, p. t. „Archeologrja Polski, zarys czasów przedhistorycznych i wczesnodziejowych ziem polskich — 1712 ilustracyj, 48 tablic, 9 map". (Warszawa, Trzaska, Evert i Michalski). Praca prof. Antoniewicza, przynosząca niezmiernie interesujący i starannie opracowany materjał faktyczny, pisana przytem w sposób dostępny, „dostosowany do średniego poziomu wykształconego ogółu", winna być czytana jaknajszerzej, budząc „zainteresowanie naszemi zabytkami przedhistorycznemi", wyjaśniając „ich ważność znaczenie" i zachęcając „do chronienia ich od zagłady".

*

Po skończeniu pięciotomowej „Encyklopedji", równolegle zaś z wielkiem, trzytomowem wydawnictwem p. t. „Polska, jej dzieje i kultura", księgarnia Trzaski, Everta i Michalskiego przystąpiła do nowego wydawnictwa zbiorowego p.t. „Wielka literatura powszechna". Zeszyt pierwszy, starannie i bogato ilustrowany, obejmuje wstęp, pióra prof. Aleksandra Brücknera, oraz „literaturą chińską", opracowaną przez dr. Bohdana Richtera. Prospekt „Wielkiej Literatury" zapowiada w dalszym ciągu współpracę znakomitych specjalistów, jak prof. A. Brücknera, prof. E. Porębowicza, prof. Wł. Tarnawskiego, prof. T. Zielińskiego i wielu innych. „Wielka Literatura Powszechna" jest pierwszą tego rodzaju pracą zbiorową w Polsce, a dać ma obraz piśmiennictwa wszystkich epok i narodów, od czasów najdawniejszych aż do chwili ostatniej.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Zmarł znakomity poeta czeski Otokar Brzezina (właściwe nazwisko Ignacy Jebawy). Urodzony w r. 1868, ukończył szkoły w Czechach, poczem oddał się zawodowi nauczycielskiemu. Od r. 1905 był nauczycielem szkoły żeńskiej w Jaromierzycach nad Rokitną. Twórczość literacką zaczął od nowel. Po śmierci rodziców w r. 1890, po dłuższym okresie przerwy, wznowił pisarstwo jako poeta Na tem polu zasłynął. Zbiorowe wydanie jego poezyj ukazało się w r. 1913. W tym też roku Akademja czeska mianowała go swoim członkiem, w r. 1919 Uniwersytet w Pradze obdarzył go tytułem doktora filozofji. W r. ub. obchodzono w Czechach uroczystość 60-lecia urodzin Brzeziny, otrzymał przy tej sposobności wielką nagrodę państwową. Otoczony był czcią jako myśliciel, talent i jako człowiek. Polacy z głębi serca łączą się z Czechami w żałobie i hołdzie nad grobem znakomitego pisarza.

*

Inicjator nacjonalizmu włoskiego Enrico Corradini do długiego już szeregu napisanych przez siebie książek dorzucił nowe dzieło *„La Reforma politica in Europa"* (A. Mondadori, Milano 1929). Autor uważa, że przemiany polityczne i społeczne dokonywane we Włoszech przez ruch faszystowski są zapowiedzią i owocem przemian podobnych choć zastosowanych do warunków miejscowych, w całej Europie. Autor wykłada, na czem polega rewolucja faszystowska i co nowego wniosła w życie narodów. Najwięcej miejsca poświęca wyjaśnieniu nowych pojęć o istocie państwa i jego roli.

*

Grupa parlamentarna polsko-francuska rozpoczęła wydawnictwo nieperjodyczne w języku francuskim p.t. *„Recueil d'etudes"*. Zeszyt pierwszy poświęcony jest stosunkom polsko-niemieckim i nosi tytuł *„Pologne et Allemagne"*. Zawiera szereg artykułów na ten temat, napisanych przez p. Stanisława Thugutta, Zygmunta Gralińskiego, Mieczysława Niedziałkowskiego, Stanisława Strońskiego, Jana Dębskiego, Bolesława Srockiego, H. Tennenbauma, M. Zyndrama Kościałkowskiego i Józefa Dwernickiego, oraz całkowity przebieg dyskusji: które się odbyło w Sejmie nad wnioskiem w sprawie pokoju i bezpieczeństwa i w której zabierali głos posłowie: Stroński, Dębski, Czapiński, Graliński, Dębski i Loewenherz. Wydawnictwo jest przeznaczone dla czytelnika zagranicznego i dobrze spełnia swój cel.

*

W wydawnictwie w *„Les oeuvres libres"* ukazała się dłuższa praca p. t. *„On en est la Pologne?"* Autorem jest p. Georges Oudard. Są to wrażenia z kilkotygodniowej wycieczki do Polski, napisane żywo i zajmująco. Informacje są dość ścisłe, ton dla nas życzliwy. W zakończeniu autor stawia swym rodakom pytanie — czy mieliśmy rację, używając w naszej grze kartę polską? I odpowiada: — Tak, jeśli będziemy grali dobrze i jeśli zamieni się ona w kartę atutową.

*

Maurycy Genevoix, który kilka lat temu za swoją powieść *„Raboliot"* otrzymał nagrodę Goncourt'ów, wydaje obecnie *„Cyrille"*.—Jest to powieść chłopska, której akcja toczy się w departamencie Loiret. Cyrille, ograbiony ze swego mienia przez własną rodzinę, a potem opuszczony przez wszystkich, a zwłaszcza prześladowany nienawiścią swego zięcia, skończy marnie w przytułku departamentalnym. Charakter tego wieśniaka o twardej, ale szlachetnej woli odtworzył autor z dużą przenikliwością, jak wogóle duszę chłopską, którą zna do głębi. Obok Cyrille poznajemy również całą galerja innych typów, okrutnie podstępnych, co chytrością swoją osiągną cel, a wówczas zmuszą Cyrille'a do opuszczenia nawet rodzinnego domostwa. Styl jędrny, prosty oddaje żywo tragiczną odysseę losów starego chłopa.

*

Dzieje zawieszenia broni w listopadzie r. 1918 mają już całą literaturę. Powiększyła się ona obecnie przez książkę gen. Mordacq'a p. t. *„La verité sur l'armistice"* (Editions Jules Tallandier). Autor był adjutantem Clemenceau, gdy ten był ministrem wojny, miał on więc możność patrzeć na wypadki zbliska. Broni on tezy, że zawieszenie broni było zawarte w czasie właściwym i na dogodnych dla zwycięsców warunkach.

*

Pułkownik G. Schnitler, prof. akademji wojennej w Oslo, napisał dzieło, przetłumaczone obecnie na język francusski p.t. *„La guerre mondiale 1914—18"* (Payot, Paris). Aczkolwiek w przedmowie wydawca zapowiedział, że znaczenie tego dzieła polega przedewszystkiem na objektywności przedsta-

wienia wypadków, ale właśnie w tym względzie wątpimy, czy książka wolna jest od błędów. Autor, najwidoczniej znawca spraw wojskowych, dał nam w szeregu rozdziałów interesujący obraz zmagań wojennych, głównie ze strategicznego punktu widzenia, przyczem sprawy polityczne poruszył tylko pobieżnie, czasem aż nadto pobieżnie. W toku czytania tej książki wychodzi na jaw, że autor jest ukrytym chwalcą pruskiej myśli militarnej a szczególnie wodzów Hindeburga i Ludendorffa. Nietylko bowiem znajduje dla ich planów i działalności dużo superlatywów, ale stosunkowo mało miejsca poświęca ich przeciwnikom, wodzom ententy. Charakterystyczną naprzykład jest rzeczą, jak mało w przedstawieniu pułk. Schnitlera, znalazło się miejsca dla świeżo zmarłego genjalnego wodza armij sprzymierzonych, marszałka Focha.

O sprawie polskiej w czasie wielkiej wojny znajdujemy zaledwie dwie wzmianki w omawianej książce. Jedna dotyczy planu operacyjnego rosyjskiego z 1914 roku, druga deklaracji państw centralnych z 5.XI 1916. Co do tej ostatniej autor stwierdza, że chodziło tu jedynie i wyłącznie państwom centralnym o wydobycie rekruta z ziem polskich i powiększenie w ten sposób siły liczebnej swych armij. Skoro jednak doznały w tem zawodu, skoro rekrutacja dała bardzo złe wyniki, kierownictwo polityczne Rzeszy i Austro-Węgier, podobnie jak przedtem Falkenhayn i Hindenburg, odniosło się wrogo do myśli niepodległości Polski, obawiając się trudności w zawarciu odrębnego pokoju z Rosją. Dla nas, Polaków, są to wszystko rzeczy znane i dlatego tylko interesujące, że płyną z pod pióra Norwega, sympatyzującego z Niemcami. W świetle tej oceny, jasno występuje tylokrotnie podkreślana wielka przezorność polityki narodowo-demokratycznej w czasie wojny, skutecznie oddziałująca na ludność Kongresówki w kierunku bojkotu rekrutacji do tak zw. armji Beselera, i krótkowzroczność „aktywistów", którzy nie dostrzegali, że państwa centralne chcą żołnierzem polskim zapchać luki w szeregach swej armji, walczącej z koalicją.

Zresztą o Polsce i Polakach głucho w książce pułk. Schnitlera.

NOTATKI i MATERJAŁY

KILKA UWAG O NAZWISKU I RODZIE Z GOSŁAWIC PASKA

We wstępie do krytycznego, zupełnego wydania „Pamiętników Paska", p. Czubek wydawca ich najlepiej ze wszystkich dotychczasowych edycyj*) mówi w przypisie, że u Pasków zachodzi ta dziwna okoliczność, iż prócz Jana Chryzostoma żaden z nich, o ile ich znamy z dokumentów, nie dodawał do swego nazwiska „z Gosławic" — nawet stryj Chryzostoma, Jan, i że dopiero nasz słynny pamiętnikarz używa stale tego dodatku a za nim poszedł oczywiście synowiec jego Stanisław, który także „z Gosławic" się pisze. Pan Czubek stawia wobec tego pytania, czy nasz pomysłowy pamiętnikarz sam własnym konceptem nie wywiódł się z jakichś Gosławic, których w Polsce jest wiele, przypuszcza, że z pośród kilku wsi tej nazwy, Paski mazowieckie były kolebką i pierwotną siedzibą rodu Pasków i że nazwisko ich od miana tej wsi pochodzi.

Spisując komentarze do „Pamiętników Paska", trafiłem na pewne dane, tematu tego tyczące.

Otóż co do kwestji „z Gosławic", to jeden z Pasków, mianowicie Andrzej, figuruje z tym predykatem już w 1528, a więc — (o ile słuszne jest przypuszczenie p. Czubka, że nasz pamiętnikarz urodził się ok. 1636) — na 108 lat przed Janem Chryzostomem. Wiadomość tę spotykam w „Słowniku Geograficznym Ziem Polskich" (2. 741) pod „Gosławice". Redakcja tekstu, który brzmi: „W 1520 przy opisie dóbr Bielawskich wspomniany jest Wincenty Paschek (Pasek), a w 1528 Andrzej Pasek z Gosławic", — nie pozwala ustalić napewno, czy i ów Wincenty Pasek, także tego predykatu używał, — bądź co bądź Jan Chryzostom nie jest jedynym (pierwszym) Paskiem z „Gosławic" się piszącym. Mimo wyniesienia się z Gosławic, a nawet z łęczyckiego wogóle, w sąsiednie rawskie i mimo wieku zgórą czasu, dzielącego Jana Chryzostoma od tego Andrzeja, — musiała się pamięć o pochodzeniu z owych Gosławic w rodzinnej Paska tradycji przechować i dlatego to niewątpliwie Jan Chryzostom do nazwiska predykat ów przyłączył a raczej używanie go wznowił.

Dlaczego?

Może niezupełnie jest słuszne domniemanie p. Czubka, że Pasek uczynił to przez szlachecki — i to s u i g e n e r i s — ambit. Pokuszę się — choć samo pytanie nie ma zbyt wielkiego znaczenia — o próbę rozwiązania go.

Z „Pamiętników" wiemy napewno, że młody Pasek do szkół — mianowicie do szkół jezuickich w Rawie — uczęszczał; może już w *infimie minorum* był drugi, a może (że to najniższe klasy zawsze najliczniejsze) nawet i jakiś trzeci Pasek? Nuż któryś z tamtych miał jednego z kilkunastu Janów za patrona?

Herbarz „Rodzina" (t. XIII, 225 i n.) wywodzi Pasków (Doliwiczów) z tychże łęczyckich Gosławic, a nazwisko od spolszczonego imienia Paschalis, daje nawet rodowi Pasków senatora, kasztelana konarsko - łęczyckiego 1455—1456 (którego zresztą, acz na dłużej (1453 — 1456) przypisuje i Goskawskim Nałęczycom z konińskiego) i wymienia między innymi Jana z Gosławic pod 1521 oraz Jana, syna Jakuba z Gosławic, który w 1604 zapisał dożywocie żonie Annie Gołuchowskiej. Wszyscy ci więc już przed Janem Chryzostomem „z Gosławic" się pisali; ów Jan syn Jakuba, to może ojciec Marcina Władysława a zatem dziad Jana Chryzostoma, który może właśnie po nim imię i predykat dziedziczył. *„Consequenter"* — jak mówi pan Pasek — wynikałoby z tego, że nie mazowieckie lecz łęczyckie (kolebka rębaczów i ... biboszów) było pierwotnem Pasków gniazdem, a Jan Chryzostom aż nadto (przez b i p) „wybitnym" tej łęczyckiej tradycji dziedzicem.

Czy tylko dziedzicem? Może właśnie fundatorem? — choć sam za Mazura się zawsze uważał. Ale zadalekoby roztrząsanie tej kwestji odwiodło.

Ale (pomijając nawet słuszność lub niesłuszność tego wywodu) — czy Pasek nie miał dokumentu, na zasadzie którego mógł był, nie sięgając do fantazji „z Gosławic" się mianować?

Owszem, miał.

P. Czubek mówi (Wstęp, IX) o Mikołaju Pasku, kanoniku wrocławskim, któremu w 1572 Montanus przyjaciel jego, wystawił nagrobek w kościele św. Michała na Wawelu; kościół nie istnieje; w przypisie powołuje p. Czubek „Herby Rycerstwa" Paprockiego. Rzecz ta wyszła w Krakowie w 1584. Otóż w tych właśnie „Herbach" zacytowany jest (str. 181) napis nagrobkowy owego Mikołaja „...*Nicolao Paszek de Goslawvice*..." etc., i to w rozdziale traktującym o h. Doliwa.

Niema żadnych danych do powątpiewania o tem, że Jan Chryzostom dobrze wiedział, iż to właśnie jest herb Pasków, — miał więc wszelkie ku temu dane, aby na podstawie cytatu z dokumentu kamiennego w drukowanym „z Gosławic" się pisać.

Jeśliby nawet przypuścić, że „Herby Rycerstwa" dzieło rzadkie, a w jakieś 60 lat po ukazaniu się trudno dostępne (niektóre części jedni, inni drugie niszczyli) nie było Paskowi znane, to miał jeszcze inne, świeższe źródło tej wiadomości — całkiem już współczesne. W 1641 wyszedł mianowicie tom drugi *„Orbis Poloni"* ks. Okolskiego w herbarzu tym, w rozdziale o Doliwie, epitafium owo — acz w skróceniu — przytoczone jest również (str. 165) pod: P a s z e k d e G o s ł a w i c e.

Z bombastycznej apostrofy do Lanckorońskiego („Pamiętniki" 391 do 402) całkowicie w stylu „O r b i s u" utrzymanej, snadnie wnosić można, że Pasek bardzo dobrze znał ten herbarz, a może nawet, — jako zawołany przy wszelkich okazjach orator (Wstęp, XIII) tę łacińską najnowszą „skarbnicę" wiadomości o familijnych związkach, herbach, dostojeństwach etc. — sam w późniejszych latach posiadał.

*) „Pamiętniki Jana Chryzostoma z Gosławic Paska". Opracował Jan Czubek. Wydanie krytyczne, zupełne. Lwów — Warszawa — Kraków. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich.

Jest i druga sprawa domagająca się komentarza; w „Pamiętnikach" pisze się nazwisko wuja pana Paska, księdza Adrjana: Piekarski; był dywizji Stefana Czarnieckiego kapelanem, o jego zaś z Paskiem pokrewieństwie dowiadujemy się tylko z cytowanych przez Paska, a zwróconych doń w obecności księdza kapelana słów Czarnieckiego: „umorzyłbyś był frasunkiem wujaszka, gdybyś jeszcze był dziś nie przyjechał" (str. 197). Drugim, to samo noszącym nazwisko, jest Filip, porucznik czy rotmistrz (należący do dywizji Czarnieckiego) pancernej chorągwi królewskiej, której towarzyszem był Pasek, a o nim to mówi Pasek raz „krewny mój" (str. 4), drugi raz: „pod tym znakiem pana Piekarskiego zostawali" (str. 130). Podług herbarza Niesieckiego Adrjan i Filip to rodzeni bracia, a więc wujowie, zatem bardzi blizcy krewni Jana Chryzostoma, — dziwna więc, że siostrzeniec ani swego kapelana, ani dowódcy — wujów swoich — nigdy wprost tak nie nazywa; drugiego opatruje nawet jakby dystansującem mianem „krewny", gdy Rylskiego, który może być tylko ciotecznym, nazywa raz — bratem (str. 59).

Czemu to?

Aby choć próbę rozwiązania tej kwestji podjąć, należy przedewszystkiem ustalić, że właściwe nazwisko tej rodziny jest nie Piekarski lecz Pikarski. Nie wiem, jak pisane jest w manuskryptach, które prawie od stulecia służą wydawcom za źródło, — wzmianka jednak p. Czubka w Dodatku krytycznym (str. 441) że „o pokrewieństwie z P i s a r s k i m i Pasek nigdy nie wspomina; zato Piekarscy byli z nim spokrewnieni" i t. d. — nasunęła domysł, że pisownia nazwiska tych krewnych pana Paska jest może odmienna od ogólnie używanej; w następstwie stwierdziłem też, że tak jest rzeczywiście.

Jak wspomniałem, właściwe nazwisko jest — podług Niesieckiego (który wywodzi tę rodzinę z Pikart): Pikarski, — a Niesiecki powinien chyba wiedzieć o tem, bo pisząc o członkach tej rodziny wspomina też o księdzu Adrjanie, zatem nie o jakimś, — jakby rzekł pan Pasek — *„adwenie"*, lecz o znanym, niedawno zgasłym konfratrze. Pomięszał wprawdzie Piekarskich Roliczów co nieco z tymi, Półkozicami, ale dopiero o Pikarskich (Półkozicach) pisząc, wymienia (między familjantami) rodziny, o których i sam Pasek tu i owdzie natrąca, że to krewni czy bracia, jak Rylskich (str. 54 i 59), Potrykowskich (str. 118) i wspomina także inne u Paska notowane nazwiska, jak Nowomiejskich i Jarzynów. Krasicki w przypisie swoim, wspominającym stolnika rawskiego z 1778 r., nazywa go również Pikarskim, — niewątpliwie zatem taka jest pisownia nazwiska krewnych pana Paska po kądzieli.

Jan Pikarski sędzia ziemski rawski miał — mówi Niesiecki — z drugiej żony Nowomiejskiej synów czterech: Anzelma, Adrjana, Stanisława i Filippa (sic) oraz córkę Jadwigę; o trzech z nich jest w „Pamiętnikach" mniej lub więcej wzmianek, — bezpośrednio nigdy ich jednak Pasek wujami nie nazywa, — w tem dziwniejsza, że jeśli dane Niesieckiego są słuszne, to oni, jako bracia Jadwigi są rzeczywiście rodzonymi wujami Paska, bo owe piąte dziecko Jana, Jadwiga, siostra ich, sędzianka rawska, to oczywiście nikt inny, jak późniejsza pani Marcinowa Władysławowa Paskowa matka Jana Chryzostoma, — której imienia, z „Pamiętników" nieznanego, tym sposobem dochodzimy.

„Rodzina" (XIV. 1) pisząc o Pikarskich v. Piekarskich, jako synów Jana podsędka rawskiego wymienia Piotra. Pawła, Wawrzyńca, Anzelma i Adrjana — więc pięciu — o Filipie jednak i córce Jadwidze nie wspomina; o Nowomiejskich natomiast mówi jako o trzeciej żonie Jana; drugą miała być Chojnacka a pierwszą Katarzyna Czarniecka (!?) starościanka chęcińska. Być może, iż wbrew twierdzeniu Niesieckiego (który Janowi daje jednak także więcej niż jedną żonę) — synowie ci, to nie rodzeni lecz przyrodni bracia Jadwigi, zatem i Jana Chryzostoma wujowie nie rodzeni — coby też poniekąd pana Paskową usprawiedliwiało od familijnych nomenklatur abstynencję.

Że Filip został w „Rodzinie" pominięty, to jednak jeszcze nie dowód, iżby nie istniał (herbarzy doskonałych nietylko w Polsce, ale w całej Europie niema); poza całkiem pewnem świadectwem Paska (i Niesieckiego) — sam fakt, że w późniejszych generacjach rodziny Pikarskich imię Filip często się powtarza („Rodzina" l. c.) wskazuje — nie bezwzględnie wprawdzie, ale pośrednio jednak na to — że był w rodzinie wstępny tego imienia.

W trakcie weryfikowania dat, stron et c. podanych w niniejszem, natrafiono w „Herbarzu Polskim" Adama Bonieckiego (t. VI. 323) na notę następującą:

„z Gosławic h. Doliwa, w powiecie orłowskim, pod Waliszewem Paweł v. Paszek z Gosławic, zganił 1424 r. w Krakowie Stembarta z Lupszy. W 1427 komisarz do spraw o wójtostwo w Trembowli przebywa na Rusi; w następnym roku posłuje do króla do kapituły gnieźnieńskiej. W. 1433 r. kasztelan konarsko - kujawski, w 1440 jest i burgrabią łowickim z ramienia Jana Lutka z Brzezia, kanonika gnieźnieńskiego. W 1456 świadczy w Brześciu. Syn jego Mikołaj 1437 roku na uniwersytecie krakowskim. Potomkowie jego przybrali imię praojca za nazwisko i jeszcze 1576 r. Mikołaj, Jakób i Stanisław Paskowie są dziedzicami Gosławic".

którą to notę dla uzupełnienia poprzednich danych przytaczam.

Jako źródło swoich danych wskazuje „Herbarz Polski" Bonieckiego: Starodawne prawa polskiego pomniki, VII; *Codex epistolaris* w. XV i dzieła Pawińskiego.

FRANCISZEK KAMOCKI

NA MARGINESIE

Na co potrzebne były sanacji „kartoteki"? Na co potrzebne są podsłuchy telefoniczne, szpiegi za kotarami? Oto potrzebny jest materjał przedewszystkiem dla prasy sanacyjnej. „Głos Prawdy" nie mógłby prowadzić rubryki „Niedyskrecyj". W numerze Wielkanocnym, w rubryce tej nie byłoby „sensacyjnej" informacji o zebraniu towarzyskiem, na które się zebrało w przyjacielskiem gronie kilkanaście osób, jak utrzymuje podsłuchujący, z Obozu Wielkiej Polski. Odbyło się ono w gabinecie restauracyjnym przy drzwiach zamkniętych, a jednak sferom policyjnym wszystko wiadomo, co tam się mówiło. Dziennik ma informację świeżą, dokładną, z nazwiskami, i z potrawami. Jedyny feler dziennikarski tej notatki, że jest zupełnie nieciekawa, towarzyski— że jest chamska, obywatelski — że nikczemna. Sanacja uzdrawia obyczaje! Miał być dany wszystkiemu styl bandycko-janosikowy, a zeszło do stylu nadwiślańsko-pochronlowego.

*

W związku ze spodziewaną „rekonstrukcją gabinetu" krąży w Warszawie pogłoska, iż po obecnym „rządzie sanacji moralnej" powołany ma być „gabinet czystych rąk"...

TREŚĆ: Z obozu młodych *St. Kozickiego*. — Fałszywa synteza *S. L-skiego*. — Podstawy sporu japońsko-amerykańskiego *B. Zaniewskiego*. — Król Ubu *A. Nowaczyńskiego*. — Liberum veto *Al. Świętochowskiego*. — Głosy: U trumny Marszałka *E. Ligockiego*; Koniec wesołego początku; Orgja łupiestwa. — Z polityki zagranicznej *S. K.* — Nauka i literatura. — Notatki i materjały *F. Kamockiego*. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel, 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2-gie piętro. Tel. 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie 17, rocznie zł. 32, za granicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P.K.O. 3.105

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. A. Michalskiego, sp. z o. o., Chmielna 27. Telefon 27-15. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM